PRZEGLĄD KLASYCZNY

1936 II 5



NAKŁADEM FILARETY, LWÓW, UNIWERSYTET

SPIS RZECZY.

NA OKŁADCE: DEMON ETRUSKI, UNOSZĄCY ZMARŁĄ.

Do archaicznego malarstwa etruskiego między innemi zabytkami należą malowane płyty terrakotowe, znalezione w Cervetri, starożytnem Caere, a przechowywane w Louvrze. Cztery z tych płyt, których wielkość wynosi ponad 1 m², mają prymitywnie-realistyczną dekorację, malowaną czarnym konturem i brunatną, czerwoną, białą, czarną i żółtawą farbą: mężczyźni i kobieta idą od lewej ku ołtarzowi; w następnym obrazie brodaty wojownik, z łukiem i strzałami idzie w prawo w towarzystwie jakiegoś uskrzydlonego, lecącego demona, który trzyma w swych ramionach kobietę, odzianą w biały chiton i owiniętą w czerwony płaszcz; wreszcie dalej na prawo widzimy dwóch starców siedzących na krzesłach, a nad nimi leci ptak o głowie kobiecej. Przedstawienie przypomina nam żywo przedewszystkiem greckiego Thanatosa lub Hermesa, unoszących w zaświaty zmarłych, dalej greckie symbole uskrzydlonych dusz i greckich żałobników, siedzących w zamyśleniu, gestykulacją rąk wyrażających żal. Płonący między scenami ołtarz, utwierdza nas w przekonaniu, że scena przedstawia jakiś obrzęd pogrzebowy, którego schemat zapożyczony i tematowo i stylowo z podobnej sztuki jońsko-mniejszoazjatyckiej VI w. przed Chr. przekształcony został w etruskim duchu. Całość ważna jest dlatego, że wyświetla związek sztuki etruskiej w VI w. z Grecją i Wschodem, gdzie uskrzydlone bóstwa i demony znane były od dawna, i dlatego, że postacie męskie są przedstawione w kolorze ciemno-brunatnym, a kobiety w białym, jak to nie bez realnych podstaw miało miejsce w sztuce egipskiej, aigajskiej i wczesnogreckiej. Płyty caeretańskie są ważnem świadectwem przedewszystkiem tego, że sztuka etruska już od swego początku koncentrowała w sobie tj. na terenie italskim rozmaite elementy wierzeń starożytnych, które następnie w formie dosyć zmienionej przekazała sztuce rzymskiej i średniowiecznej. Aniołowie i djabli czasów chrześcijańskich w dużej mierze zapożyczyli swe kształty z owego rezerwoaru sztuki etrusko-italskiej. Nie bez związku z ikonografją starożytną etrusko-italską jest scena uśpienia Matki Boskiej sztuki byzantyńskiej, gdzie podobnie jak na malowidle z Caere, Chrystus unosi w swych ramionach duszę swej Matki w kształcie kobiety. Gest podniesionej ręki, dla wyrażenia żalu, jest również często spotykany w sztuce byzantyńskiej.

J. ST.

DYDAKTYKA

BAZYLI PASTUSZCZYN

NAUCZANIE SŁÓWEK ŁACIŃSKICH W GIMNAZJUM NOWEGO USTROJU

I

O nauczaniu słówek wyraża się najnowszy program [1]) na s. 227 tak: „Dostateczny zasób wyrazów (względnie wyrażeń) jest niezbędnym warunkiem poprawnego rozumienia tekstu; dlatego ten dział nauki wymaga szczególnej opieki ze strony nauczyciela. Opieka ta powinna pójść jednocześnie w kilku kierunkach, mianowicie nauczyciel musi: uczynić pracę nad słówkami interesującą dla uczniów; wdrożyć ich do traktowania wyrazów nie zosobna, lecz w związku z treścią

[1]) Literatura: 1. Program nauki w gimnazjach państwowych (tymczasowy) MWR i OP 1934. — 2. Wskazówki metodyczne MWR i OP pt. Filologja klasyczna 1927. — 3. M. Auerbach, Problem zasobu wyrazów w języku łacińskim (Kwart. Klas. VII 1933, s. 93 nn.). — 4. A. Kobierzycki, O nauczaniu języka łacińskiego na stopniu najniższym, Zamość 1918. — 5. J. Mirtyński, Kilka zagadnień z zakresu metodyki języka łacińskiego (Sprawozdanie Dyrekcji P. Gimn. w Trembowli za 1934/35). — 6. J. Rozwadowski, O zjawiskach i rozwoju języka, Cz. I. Kraków 1921. — 7. Dr. Heil, Schprachen, Neusystem. Die mnemo-psychologische Methode, München 1932 (zeszyt pierwszy: Einführung). Wstęp do języka francuskiego. — 8. Dr. Müller, Der suggestive Weg nach Methode Mertner. Wstęp do języka francuskiego, München 1933. — 9. J. B. Hoffmann, Der lateinische Unterricht auf sprachwissenschaftlicher Grundlage 1921. — 10. Dr. Richter, Wie wir sprechen? (Aus Natur und Geisteswelt) Leipzig 1912. — 11. P. Cauer, Die Kunst des Übersetzens, Berlin 1914. — 12. E. Hermann, Die Sprachwissenschaft in der Schule, Göttingen 1923. — 13. W. Kranz, Die neuen Richtlinien für den lateinisch-griechischen Unterricht am Gymnasium, Berlin 1926. — 14. Krieger, Methodik des altsprachlichen Unterrichts 1930. — 15. Fr. Cramer, Der lateinische Unterricht, Berlin 1919. — 16. E. Bruhn, Altsprachlicher Unterricht, Leipzig 1930. — 17. Ficker, Didaktik der neuen Schule, 3Leipzig 1932.

całego wypowiedzenia, którego część stanowią; doprowadzić do utrwalenia materjału leksykalnego w pamięci; nauczyć posługiwania się słownikiem itd.“.

Wymagana ilość słówek i zwrotów łacińskich w poszczególnych klasach gimnazjum nowego ustroju ogranicza się do następujących liczb: Klasa I. Opanowanie około 300 słówek z klasycznej łaciny oraz pewnej ilości zwrotów; Klasa II: 400 nowych słówek oraz pewnej ilości nowych zwrotów; Klasa III: 300 nowych słówek i zdobycie pewnego nawyku spostrzegania zasadniczych pokrewieństw między wyrazami; Klasa IV: Wzbogacenie materjału leksykalnego (około 300 nowych wyrazów) i rozwinięcie większej spostrzegawczości w dziedzinie poznawania pokrewieństwa wyrazów. Ponieważ całe drugie półrocze (10 stycznia — 22 czerwca) wynosi 163 dni czyli 23 tygodni + 2 dni, po odliczeniu rekolekcyj, spowiedzi, św. Komunji, feryj wielkanocnych, Wniebowstąpienia, Zielonych Świąt, Bożego Ciała i wszelkich nieprzewidzianych zgóry godzin można liczyć okrągło 21 tygodni, wypada na 105 lekcyj (21 razy 5 godz.) języka łacińskiego w klasie I mniej niż 3 słówka na godzinę: w klasie II wypada na każdą godzinę w ciągu roku szkolnego, licząc w podobny sposób (1. i 2. półrocze) mniej niż 3 słówka, w klasie III i IV mniej niż 2 słówka. Przeciętna ilość słówek niewielka, nie znaczy to, by nauczyciel na każdej lekcji zadawał taką samą ilość słówek, jaka wypadła w górze z cyfr, raczej wskazuje ona na to, by nauczyciel orjentował się, jak ma postępować z materjałem leksykalnym.

Wszystkie zatem wyrazy i zwroty musi uczeń opanować poza gramatyką i kulturą w $14^1/_2$ godzinach, przeznaczonych w programie na nauczanie języka łacińskiego; jeżeli porównamy, że Krieger (w cytowanym podręczniku) wymaga w niższych klasach niemieckich gimnazjów opanowania około 1200 słówek rocznie, to u nas nikt z uczniów nie może narzekać, że ich się przeciąża słówkami, jeśli w całem 4-letniem gimnazjum nowego ustroju mają się nauczyć 1300 słówek.

Język łaciński jest językiem obcym, a ponieważ należy także do tzw. języków martwych, to tem ostatniem różni się on od innych języków obcych nowożytnych. Wspólnym mianownikiem języków obcych są ich wartości formalno-kształcące oraz kulturalno-historyczne, zresztą różnią się one celem

i metodą od siebie: w językach obcych nowożytnych dążymy do czynnego i biernego opanowania zasobu słówek i zwrotów przeważnie zapomocą metody bezpośredniej dla celów praktycznych — w języku łacińskim natomiast, ponieważ w myśl programu: „Dostateczny zasób wyrazów i zwrotów jest niezbędnym warunkiem poprawnego rozumienia tekstu", zmierzamy przeważnie do biernego, mniej do czynnego opanowania zasobu słówek i zwrotów, a proces ten odbywa się zapomocą tzw. równań znaczeniowych na tle języka ojczystego.

Każdy program nawet najlepszy podaje tylko ramy, które nauczyciel ma w praktyce wypełnić taką treścią, by żądane przez program wyniki nauczania były całkowicie osiągnięte.

Wobec takich wymagań programu zastanówmy się przynajmniej pobieżnie nad tem, jak musi postępować nauczyciel języka łacińskiego, by tym wymaganiom uczynić zadość. Naogół możnaby powiedzieć, że każdy nauczyciel powinien tak postępować, by praca nad słówkami w całej swej rozpiętości ilościowej i czasowej była interesująca i twórcza; każda praca jest interesująca i twórcza wtedy, kiedy z niej niejako samorzutnie wynika dążność, by tę pracę jeszcze więcej pogłębić i tworzyć jeszcze więcej, niż przedtem; nudna jest praca, kiedy zachodzi przeciwieństwo. Zgóry można też powiedzieć, że każda praca a tem samem i praca nad słówkami jest interesująca, radosna i twórcza, kiedy jest umiejętnie zorganizowana, każda nie planowa, dorywcza praca jest natomiast nudna, męcząca i zabójcza.

Wielu myśli, że przy opanowaniu obcego języka najważniejszą jest rzeczą pamięć uczącego się, tymczasem tak nie jest, bo stosunek — jak stwierdza Douglas [2]) — jest taki: na pamięć przypada 10%, na pilność 10%, a na plan pracy, czyli metodę 80%; do tego zestawienia Douglasa możnaby dodać jedno zastrzeżenie, o ile ta praca nad obcym językiem odbywa się w normalnych warunkach; bo o ile się w takich warunkach nie odbywa, to stosunek liczb może być inny. W każdym razie zestawienie Douglasa kładzie nacisk na metodę w bardzo wysokim stopniu, a stąd też pochodzi ten fakt, że i nasz program czyni nauczyciela w pierwszym rzędzie odpowiedzialnym za wyniki pracy w klasie, a nie uczniów.

---

[2]) *Wie studiert man?* Verlag f. zeitl. Fortschritt G. m. b. H. München,

W nauczaniu nie powinien nauczyciel nigdy stawać się ślepym wykonawcą jakiejś jednej ogólnej metody, bo takiej niema; są natomiast różne metody, a każda z nich zawiera w sobie coś istotnego; nauczyciel powinien więc znać wszystkie metody swego przedmiotu, a w danym wypadku wybrać taką jedną lub kombinacyjną, która jego zdaniem jest najbardziej celowa. Trafny wybór metody to już początek sukcesu. Taki postulat jest zgodny z najnowszym naszym programem; na s. XXVII czytamy takie zdania: „Należy dążyć do urozmaicenia postępowania dydaktycznego... trzeba stosować różne formy nauczania".

W szkole spotyka się uczeń ze słówkami łacińskiemi po raz pierwszy w 2. półroczu klasy I nowego ustroju, czytając wstępny ustęp pt. *Ćwiczenia w czytaniu* według czytanki Kowalskiego-Goliasa: *Puer Romanus* z roku 1934. Ustęp ten różni się zasadniczo pod względem formalnym od wszystkich innych następnych tem, że niema jeszcze tzw. starej lekcji a ma tylko nową i rekapitulację czyli syntezę. Zawiera on — jak wiadomo — szereg zdań łacińskich. Jeżeli się zauważy, że uczniowie po kilkakrotnem głośnem przeczytaniu tych zdań przez nauczyciela mimo to źle wymawiają niektóre wyrazy i akcentują, powinien nauczyciel dać krótkie, a trafne wyjaśnienie w sprawie alfabetu łacińskiego i iloczasu zgłoski przedostatniej wyrazów łacińskich, od której to zgłoski zależy akcent łaciński, który w pewnych wypadkach może nawet powodować zmianę znaczenia wyrazów łacińskich. Kończy się ten ustęp pytaniem: „Które z tych wyrażeń lub zdań są znane i skąd?" Na takie pytanie odpowiadają uczniowie: *Gloria in excelsis Deo* (z kolędy), *Dominus vobiscum* (z kościoła), ten i ów odpowiada, że słyszał lecz nie rozumie jeszcze zdania: *Mens sana in corpore sano.* Jeśli nauczyciel zapyta się od siebie np., słyszeliście takie wyrazy jak *edukacja, koronacja, reformacja* itp., to natychmiast zgłasza się cały szereg uczniów, którzy nietylko te wyrazy komentują, lecz także podają od siebie nowe takie wyrazy, które dawniej uważali za wyrazy czysto polskie. Nieco trudniej przedstawia się odpowiedź uczniów na pytanie nauczyciela, skąd wzięły się takie wyrazy w języku polskim. Fragmentaryczne odpowiedzi uczniów powinien nauczyciel uzupełnić takiemi krótkiemi uwagami — zależnie od potrzeby — np., że chrześci-

jaństwo w Polsce przyjęto z Rzymu, że pierwsi autorowie pisali i mówili po łacinie itp. W taki i podobny sposób uczniowie sami już na pierwszej godzinie przekonują się, że język łaciński nie jest taki martwy, jak to się zwykle mówi, a co najważniejsze, nauczyciel wywołuje pewne ustosunkowanie się uczniów do języka łacińskiego i rzuca fundamenty, na których będzie się opierał w całym kursie 4-letniego gimnazjum.

Zupełnie inaczej wygląda metodyczne podejście do ustępu pierwszego pt. *Nowy płaszcz* z cytowanej czytanki na następnej godzinie, bo ustęp wstępny posiada charakter ogólny, wprowadzający. Uczniowie zaciekawiwszy się na pierwszej lekcji wyrazami łacińskiemi, żyjącemi nawet w codziennej mowie języka polskiego, powtarzają na początku godziny w sposób samodzielny nietylko te zdania i wyrazy, o których słyszeli na pierwszej lekcji, lecz podają jeszcze więcej takich nowych, nad któremi myśleli w domu. W chórowem odczytaniu starej lekcji można zauważyć pewien postęp i pod względem akcentu i pod względem wymawiania poszczególnych wyrazów tego ustępu.

Przy przejściu do lekcji nowej nasuwają się takie zasadnicze pytania: czy słówka o nowej lekcji podać przed tłumaczeniem, czy w ciągu tłumaczenia, a dalej — co się z tem ściśle łączy — czy słówka podać i pisać na tablicy przed tłumaczeniem, czy podawać słówko za słówkiem w ciągu tłumaczenia w takim porządku, w jakim ono występuje w czytanym tekście i równocześnie pisać je na tablicy, czy tylko dyktować, a nie pisać na tablicy, czy może inaczej.

Literatura fachowa, z której korzystałem, zazwyczaj milczy w takich wypadkach — zapewne mojem zdaniem dlatego, że wybitni fachowcy myślą, że to jest rzecz sama przez się zrozumiała i że doświadczony nauczyciel z temi wątpliwościami sam sobie da radę. W tem może być dużo prawdy, lecz jeśli chodzi o początkującego nauczyciela, to sprawa może przedstawiać się inaczej; ten zwróciwszy się do literatury, może nieraz nawet poleconej, nie znajduje tam wszystkich potrzebnych mu wyjaśnień i walczy dalej z motywami, dosłownie z metodami, podobnie jak Herakles na rozstajnej drodze. Całem szczęściem byłoby dla takiego nauczyciela, gdyby się w tej walce z metodami zadecydował na coś takiego, jak Herakles we wspomnianej anegdocie Prodikosa. Zazwyczaj tak

nie jest, lecz chwyta się pierwszej lepszej metody, czasem może najgorszej i uczy w przekonaniu, że uczy dobrze.

Może w sprawach, które omawiamy, wyjaśni nam nieco następujące doświadczenie nad pamięcią, którą badam zwłaszcza wtedy, kiedy uczniów jeszcze nie znam; badanie jest całkiem proste: uczniom polecam przygotować ołówki, kartki papieru i uważać; następnie dyktuję im jakichś 20 słówek oderwanych w języku polskim. Aż po podyktowaniu przeze mnie wszystkich słówek uczniowie chwytają za ołówki i wpisują do swych kartek te wszystkie słówka, które potrafili sobie zapamiętać po jednorazowem mojem wygłoszeniu i natychmiast oddają kartki; zaznaczam, że nie zależy mi przytem tyle na kolejności, w jakiej wygłosiłem te słówka z swej kartki, ile na ilości napisanych słówek. W domu przeglądam te kartki uczniów i porównuje ze swoją kartką; przekonuję się, że mniej niż połowa uczniów potrafiła sobie zapamiętać połowę dyktowanych wyrazów, rzadko kto napisze więcej niż połowę wyrazów, reszta przekręca dyktowane wyrazy lub pisze takie, których wcale nie dyktowałem.

Gorsze były wyniki, jeżeli w taki sam sposób dyktowałem im znane słówka łacińskie, a najgorsze, jeśli im podyktowano jeszcze całkiem nieznane słówka łacińskie.

Przeciwnie lepsze były wyniki, jeżeli podyktowano im prozaiczne zdania polskie lub łacińskie, a jeszcze lepsze, jeśli podyktowano im zdania polskie lub łacińskie w formie wierszowanej.

Zdaje się, że stąd wynika jasno, że wszelkie podawanie nowych słówek a priori, tj. zgóry przed tłumaczeniem tekstu łacińskiego, niema żadnego uzasadnienia, jeśli chcemy się patrzeć na te rzeczy ze strony psychologicznej, A zatem nauczyciel powinien zawsze wychodzić od tekstu łacińskiego tak, by tekst był wstępem do słówek a nie, by słówka były wstępem do tekstu.

Wychodząc z takiego założenia, zdaje mi się, że Krieger myli się, kiedy radzi, by w początkach nauczania, ponieważ uczniowie nie umieją jeszcze kombinować, podawano słówka przed tłumaczeniem tekstu, a dyktowano je po przetłumaczeniu tekstu. Słuszne natomiast jest jego żądanie, by uczniowie nie pisali słówek w ciągu tłumaczenia tekstu.

Wracając po tej dłuższej, lecz koniecznej wycieczce do

nowej lekcji ustępu pierwszego, sądzę, że nauczyciel zrobi dobrze, jeśli postąpi mniej więcej tak: przeczyta lekcję nową, może nawet kilkakrotnie, gdyż to są początki, z uwzględnieniem modulacji głosu i w ten sposób połączy nową lekcję ze starą naturalnem przejściem. Następnie zacznie tłumaczyć z uczniami pierwsze zdanie tego ustępu: *Marcia portam pulsat*. *Marcia* jako słówko nie przedstawia wielkiej trudności uczniom, bo to jest imię własne, drugie słówko *portam* skojarzy z *portjerem*, a jeśli mu się to nie uda, poda znaczenie tego słówka narazie ustnie po polsku, nie pisząc go na tablicy i uczniom nie będzie polecał niczego pisać w zeszytach; słówko *pulsat* skojarzy z *pulsem* w języku polskim, a jeśli nie wywoła żądanego skojarzenia, postąpi tak jak ze słówkiem *portam*. W podobny sposób będzie nauczyciel postępował ze słówkami i w następnych zdaniach tego ustępu. A więc będzie podawał słówko narazie tylko ustnie w tem miejscu, gdzie ono po raz pierwszy występuje w tekście, niczego sam nie pisząc i niczego uczniom do pisania nie polecając, by całą uwagę uczniów skupić nad treścią tekstu. Pisanie słówek w czasie tłumaczenia rozprasza skupienie uwagi uczniów nad tekstem. Proszę sobie wyobrazić następujące postępowanie: ustęp pierwszy zawiera 13 słówek nowych: gdyby nauczyciel w ciągu tłumaczenia także pisał słówka na tablicy i kazał uczniom odpisywać słówka z tablicy, musiałby 13 razy przerywać tłumaczenie. Lecz na tem nie koniec. Po stronie uczniów powstaje wtedy jakiś odruchowy szmer, bo temu upadła książka na ziemię podczas wyciągania zeszytu, tamten zauważył, że niema pióra lub atramentu i chce się porozumieć z drugim, by mu pożyczył itd., a wszystko to razem jeszcze więcej rozprasza skupienie uwagi, która i bez tego w ciągu godziny ulega rozmaitym wahaniom. Nauczyciel w czasie takiego pisania słówek przez uczniów musi nieraz długo czekać, by wszyscy napisali, a wskutek tego traci dużo czasu i nie może nieraz wykonać swego planu lekcyjnego, bo dzwonek tymczasem zadzwonił i lekcja siłą faktu musiała się skończyć. Nauczyciel wychodzi z takiej godziny z niezadowoleniem, a najgorzej wychodzą na tem uczniowie, bo z tak zakończonej lekcji nie wiedzą, czego i jak ma się uczyć w domu.

A więc aż dopiero wtedy, kiedy uczniowie na tle tekstu zrozumieli, tj. po przetłumaczeniu nowej lekcji, powinien na-

uczyciel napisać słówka na tablicy, a nie dyktować, jak tego żąda Krieger. Wprawdzie i teraz powstaje w klasie niepożądany, odruchowy szmer, lecz jest on jednorazowy, a nie kilkakrotny jak w ciągu tłumaczenia, bo nauczyciel jednym ciągiem pisze teraz słówko za słówkiem na tablicy, a równocześnie czynią to samo uczniowie. Dyktować nie powinien nauczyciel, zwłaszcza w początkach nauczania, bo uczniowie w początkach mają wielką inklinację do tego, by łacińskim słówkom i zwrotom narzucać polską pisownię, o czem można się nieraz przekonać, jak oni piszą preperacje lub zadania szkolne.

Nauczyciel pisząc nowy wyraz ewentualnie zwrot na tablicy, wymawia go wyraźnie i głośno; uczniowie zapisują w zeszycie do słówek i również chórem powtarzają. W ten sposób uczeń widzi wyraz, który już rozumie, słyszy go, pisze i wymawia; musimy ćwiczyć oko, ucho i język uczniów. Wyobrażenia wzrokowe i słuchowe kojarzą się z wyobrażeniem ruchowem.

Że tak powinniśmy postępować, wynika z ankiety, jaką przeprowadziłem w ostatnim czasie na terenie kilku klas, w których uczę:

Klasa	Ilość uczniów	słuchaczy		wzrokowcy		obojętni	
		ilość	procent 1) %	ilość	procent 1) %	ilość	procent 1) %
II b	42	16	*38*	26	*61*	—	—
III a	24	11	*45*	13	*54*	—	—
VII a	26	7	*27*	16	*61*	3	*11*
VIII a	20	3	*15*	14	*70*	3	*15*
VIII b	28	10	*35*	17	*60*	1	*5*
suma	140	47	*33*	86	*61*	7	*5*

1) Procent podajemy tu w liczbach całych bez ułamków.

Słuchowcy zazwyczaj odpowiadają tak: „przez słuch łatwiej się uczę słówek; to, co słyszę, lepiej pamiętam; nie mam zdrowych oczu, a słuch mam dobry; przez słuch słówko mi lepiej wbija się w pamięć; bo rytmika słów pomaga mi w zapamiętaniu słówek i zwrotów; bo mam muzykalne ucho; bo dźwięk słowa działa na mnie silniej“ itd.; dużo odpowiedzi powtarza się.

Wzrokowcy argumentują: „bo przez wzrok poznaję pisownię nowych wyrazów; mam lepszą pamięć wzrokową; lepiej słówko uzmysławiam przez pismo; przez wzrok lepiej sobie utrwalam słówko w pamięci; bo słówko napisane wyciska w moim umyśle dłużej niezatarte piętno; przez wzrok, bo, gdy jestem pytany, to zaraz przypominam sobie miejsce, w którem to słówko lub zwrot widziałem napisane; mam lepsze oczy niż uszy; bo pisząc lub szukając zwrotów myślę ciągle o nich i przez to lepiej pamiętam, niż raz usłyszane słówko“ itd.; niektóre odpowiedzi powtarzają się. Obojętni mówią: „muszę słówka i zwroty wymawiać i widzieć jak są napisane, bo tylko w taki sposób pamiętam doskonale; mam oba zmysły doskonałe“.

Słuchowcy zatem korzystają najwięcej w szkole przy takich przedmiotach, przy których więcej się mówi niż demonstruje, wzrokowcy przeciwnie; nauczyciel musi używać rozmaitych metod, by korzystali jedni i drudzy.

Dotychczasowe nasze uwagi — abstrahując od lekcji wstępnej, która, jak już zaznaczono wyżej, ma charakter ogólny, wprowadzający — były ograniczone do słówek nowej lekcji pierwszego ustępu w klasie pierwszej. Nasuwa się pytanie, czy nauczyciel ma posługiwać się taką samą metodą przy każdej następnej nowej lekcji. Można odpowiedzieć twierdząco przez jakiś czas, bo jakieś szczegółowe granice czasowe lub lekcyjne nie byłyby tu mojem zdaniem wskazane. W tym czasie, krótszym lub dłuższym, będzie nauczyciel starannie powiększał zasób nowych słówek i zwrotów trzymając się zasady, że każdy początek jest trudny. Słuszna mojem zdaniem jest obserwacja Auerbacha, który w cytowanym artykule powiada, że nabywanie nowych wyrazów nie odbywa się podług postępu arytmetycznego, a znajomość pierwszej setki wyrazów wymaga o wiele więcej czasu niż drugiej setki; w drugiej setce wyrazów jest wiele takich, które mają punkty styczne w percepcji, dzięki pokrewieństwu z już znanemi itd. Do rozumienia pełnej treści łacińskich słówek i zwrotów będzie dążył nauczyciel rozmaitemi drogami: ilustracjami, rysunkami, modelami, mapą, tablicą szkolną itd. Stąd też pochodzi ta okoliczność, że rzeczowników konkretnych uczą się uczniowie łatwiej, a dalej także dlatego, że mowa konkretna jako mowa pierwotnego człowieka jest bardziej zrozumiała niż mo-

wa abstrakcyjna, którą się posługują przeważnie dzisiejsi ludzie wykształceni. Do wyrazów abstrakcyjnych nie mamy żadnych pomocy naukowych; tutaj posługujemy się objaśnieniami mniejwięcej takiemi: trzeba uświadomić uczniów, że prawie każdy dzisiejszy wyraz abstrakcyjny był ongiś konkretnym, który dopiero zczasem przybrał znaczenie abstrakcyjne: *kościół, dom,* itp. wyrazy oznaczały pierwotnie tylko budynek, zczasem zaczęto mówić np. *nasz kościół potępia taką naukę, nasz cały dom wyjeżdża na wakacje* itp. Trzeba także uświadomić uczniów, że tylko tekst decyduje o tem, czy dany wyraz jest użyty w konkretnem czy abstrakcyjnem znaczeniu. Tak uświadomiony uczeń będzie rozumiał także łacińskie wyrazy i będzie tłumaczył *gravis homo* 'ciężki człowiek', jeżeli będzie chodzić o wagę fizyczną jakiegoś człowieka, a innym razem 'poważny człowiek' w znaczeniu abstrakcyjnem; raz będzie rozumiał *domus Augustana* jako 'pałac Augusta', a drugim razem 'rodzinę Augusta' itp. W początkach będzie zwracał nauczyciel także pilną uwagę na rodzaj rzeczowników łacińskich, a to tem bardziej, że język niema rodzajnika; uczniowie wciąż się mylą i narzucają rzeczownikom łacińskim rodzaj rzeczowników polskich, a więc uczniowie rozumują zazwyczaj tak: ponieważ *stół* jest w języku polskim rodzaju męskiego, to musi być także i w języku łacińskim tego samego rodzaju i mówią np. *mensa magnus* zamiast *mensa magna* itd.; nie mylą się np. przy takich wyrazach jak *magnus hortus,* bo tutaj rodzaje w języku polskim i łacińskim zgadzają się ze sobą. Trzeba zatem w swoim czasie pouczyć uczniów, że tylko niektóre rzeczowniki polskie zgadzają się w rodzaju z rzeczownikami łacińskiemi, a niektóre nie zgadzają się; w tym celu najlepiej pisać rzeczowniki łacińskie z przymiotnikami, by uwydatnić zaraz przy pierwszem spotkaniu się z danym rzeczownikiem w tekście jego rodzaj.

Takie i tym podobne sposoby interesują uczniów i trzeba zawsze pamiętać o tem, że pierwsze wrażenia są najsilniejsze.

Aż dopiero wtedy, kiedy nauczyciel zauważy, że uczniowie jego posiadają już większy zasób dobrze opanowanych wyrazów, a w parze z tem i zaawansowane wiadomości gramatyczno-kulturalne oraz spotęgowany zmysł kombinacyjny, powinien swoją dotychczasową metodę o słówkach zmodyfi-

kować w następującym kierunku: nowych słówek w tłumaczonym ustępie łacińskim, powinien uczeń domyślać się na podstawie znanych i wychodzić zawsze od znaczenia realnego. Nauczyciel będzie ułatwiał uczniom tę pracę rozmaitemi sposobami, a więc drogą etymologji, analogji, i tym podobnych sposobów, dopatrując się wszelkich możliwych związków językowych, czy to na tle tylko języka łacińskiego, czy też na podstawie zapożyczonych wyrazów łacińskich w języku polskim lub w innych językach nowożytnych, lecz takich, które są uczniowi znane. To pomaganie ze strony nauczyciela będzie w początkach większe, później mniejsze, kiedy spotęguje się u uczniów kombinacja i krytycyzm. Nowe słówka łączyć na stopniach niższych w grupy rzeczowe, na wyższych w grupy etymologiczne. Granice między temi grupami nie są ścisłe a stąd postulat, by grupy te były przejrzyste i niezbyt naciągnięte. Dodać także należy, że etymologja niejasna i niepewna zaciemnia znaczenie wyrazu realnego; w takim wypadku lepiej jej nie omawiać.

Inaczej nieco musi postępować nauczyciel, tłumacząc ustępy polskie na język łaciński, które znajdują się w naszych czytankach w kl. I, II i III do pierwszego półrocza włącznie. Ustępy te, że się tak wyrażę, mają raczej charakter czynnej reprodukcji w stosunku do wyprzedzających je ustępów łacińskich. Chodzi tutaj głównie o to, jak posługuje się uczeń w praktyce nabytym materjałem leksykalnym łacińskim. Wyrazy nowe występują w tych ustępach zazwyczaj rzadko i te powinien podać nauczyciel w tem miejscu tekstu, gdzie się z niemi po raz pierwszy uczeń spotyka; a to tem bardziej, że celem naszym według programu jest przeważnie tłumaczenie tekstów łacińskich na język polski a nie odwrotnie.

Na pytanie, w jakim ustępie łacińskim czy polskim domyślają się uczniowie łatwiej koniecznych im słówek i zwrotów do tłumaczenia, oświadczyli się tak: w IIb: 39 (92%) uczniów oświadczyło się za tekstem łacińskim, a tylko 3 (7%) za tekstem polskim na 42 badanych uczniów; w klasie IIIa: 23 (95%) oświadczyło się za tekstem łacińskim, a 1 (4%) za tekstem polskim na 24 uczniów badanych; w wyższych klasach tego pytania nie stawiałem, gdyż tam tłumaczy się tylko z łaciny na język polski. Ci, co oświadczyli się za tekstem łacińskim, wyrażają się tak: „porównuję wyrazy łacińskie z pol-

skiemi i dochodzę do oznaczenia wyrazów łacińskich; bo łacińskie słówka mogą mieć więcej znaczeń w języku polskim; czasem z treści zdania mogę wywnioskować potrzebny mi wyraz polski; czasem oddaje mi wielkie usługi fantazja“ itd. Argumentacja uczniów za tekstem polskim jest następująca: „ponieważ uczę się zawsze z polskiego na język łaciński“; 3 uczniów nie dało odpowiedzi na to pytanie.

Na pytanie, które słówka (oderwane czy zwroty) utrwalają sobie łatwiej uczniowie w pamięci, statystyka wygląda tak:

Klasa	Ilość uczniów	oderwane wyrazy		zwroty		obojętni	
		ilość	procent %	ilość	procent %	ilość	procent %
II b	42	23	*54*	16	*38*	3	*7*
III a	24	9	*37*	13	*55*	2	*7*
VII a	26	11	*42*	9	*34*	6	*23*
VIII a	20	3	*15*	13	*65*	4	*20*
VIII b	28	11	*39*	17	*60*	—	—
suma	140	57	*40*	68	*48*	15	*11*

Ważniejsza argumentacja uczniów w sprawie oderwanych wyrazów; „oderwane wyrazy łatwiej pamiętam niż długi zwrot; oderwane nie obciążają zbytnio pamięci; pojedyncze, gdyż brak mnogości i rozwlekłości, jaka cechuje każdy zwrot; dużo słówek uczę się łatwiej w oderwaniu, zaś słówka o różnych znaczeniach wolę się uczyć w zwrocie, bo zwrot przypomina mi łatwiej znaczenie danego słówka“ itd., dużo odpowiedzi powtarza się.

Argumentacja w sprawie zwrotów; „zwroty lepiej utrwalają się w głowie, gdyż dobrze pamiętam, do czego dane słówko się odnosi, co przed niem i co po niem się znajduje; w zwrocie lepiej pamiętam; lepiej mogę stosować zwroty w pogadankach łacińskich niż oderwane wyrazy; bo pojedyncze słówko o specjalnem znaczeniu trudniejsze do zapamiętania występuje w zwrocie w towarzystwie bliżej mi znanych słówek; gdy przypominam sobie zwrot lub zdanie, to przypominam sobie także i pojedyńcze słówka w tem zdaniu lub zwrocie zawarte“. Obojętni uczniowie nie robią różnicy, czy mają się uczyć oderwanych wyrazów, czy zwrotów.

Cała dotychczasowa praca nad słówkami i zwrotami mą charakter przygotowawczy, pogłębiona i systematyczna praca zaczyna się w klasie III z lekturą oryginalnych wyjątków z autorów łacińskich. Program żąda, by nauczyciel nauczył uczniów posługiwać się słownikiem. Pożądane w tym celu wskazówki może byłyby takie: uczniowie muszą dobrze rozumieć rozmaite skróty, jakie znajdują się na początku każdego dobrego słownika; o ile takich skrótów we wstępie niema jak np. w słowniku łacińsko-polskim Koncewicza, powszechnie przez uczniów używanym, konieczne objaśnienia o iloczasie, rodzaju rzeczowników itd., powinien dać nauczyciel. Uczeń musi znać porządek liter alfabetu łacińskiego. Jest to bardzo ważne dla ekonomji czasu szukanych słówek względnie zwrotów. Czynność otwierania słownika musi być tak sprawna, jak sprawne jest np. liczenie pieniędzy przez urzędników bankowych. Kiedy uczeń szukający jakiegoś słówka lub zwrotu w większym słowniku nie wpadnie odrazu na pożądane miejsce, powinien szybko orjentować się, czy ma się z tego miejsca cofać, czy pójść dalej. Nam, którzy z temi rzeczami mamy ciągle do czynienia, wydaje się to samo przez się zrozumiałe, lecz nie jest to samo zrozumiałe dla początkujących uczniów. Ponadto pouczyć także uczniów, że i słówka pod jedną i tą samą literą są alfabetycznie uporządkowane; kto szuka np. słów: *salus*, będzie mniejwięcej szukać tego słówka na początku litery *s*, a *surgo* mniejwięcej przy końcu litery *s*.

To są wskazówki czysto technicznej natury; ważniejsze są następujące: do słownika powinien się udać uczeń tylko wtedy, kiedy znaczenia jakiegoś słówka lub zwrotu w żaden sposób nie może się domyślić z tekstu. Słówek szukają wszyscy uczniowie: w Ameryce, jak pisze o tem Hall Quest, *Uczenie się pod kierunkiem w szkole średniej*, Lwów 1932, s. 352, odbywają się nawet zawody słownikowe. Zawody te prowadzi się różnemi sposobami, a następnie przy końcu godziny daje się uczniowi numer kolejny do następnej próby. Uczeń, który przez dwa dni z rzędu utrzymuje się na czołowem stanowisku, wchodzi na listę honorową i schodzi na koniec, by rozpocząć na nowo posuwanie się w górę. Dobrze jest uczniów w samych początkach pouczyć, że każdy słownik nie jest niczem innem, jak tylko magazynem rozmaitych przedmiotów, i to w jak najszerszem tego słowa znaczeniu.

Wdrażając uczniów do umiejętnego posługiwania się słownikiem obserwowałem także uczniów, jak oni się zachowują przy tej pracy: większość uczniów postępuje w początkach ze słówkami szukanemi w słowniku tak, jak ten, co na oślep kupuje gotowe ubranie w sklepie, a w domu dopiero stwierdza jego ewentualne niewłaściwości i odnosi to ubranie do sklepu, zadając sobie dużo niepotrzebnego trudu, nie mówiąc już o kupcu. Lecz to w początkach nie razi — *errando discimus;* nauczyciel wyciąga z tego wnioski i sprowadza pracę na właściwe tory. Uczeń posługujący się umiejętnie słownikiem poznaje cały szereg wyrazów o znaczeniu podstawowem, pochodnem, konkretnem, abstrakcyjnem, tu i tam dowiaduje się o historycznym rozwoju poszczególnych wyrazów, poznaje lepiej język łaciński, a równocześnie doskonali się także w języku ojczystym. Goethe miał słuszność pisząc: „Wer fremde Sprachen nicht kann, weiss nichts von seiner eigenen“. Dopiero w klasie IV po szeregu prób może nauczyciel według programu przenieść pracę nad słówkami ze szkoły częściowo do zadań domowych.

Wielką — niestety — przeszkodą w umiejętnem posługiwaniu się słownikiem są mojem zdaniem gotowe, drukowane preparacje także do oryginalnych wyjątków z Neposa, Caesara itd. Z programu wynikałoby raczej, że takie preparacje odnoszą się tylko do klas I i III do pierwszego półrocza włącznie. Uczniowie mając gotowe preparacje do tych wyjątków, niechętnie zaglądają do słownika alfabetycznego, chyba tylko wtedy, kiedy w tych preparacjach niema jakiegoś słówka im potrzebnego; są to jednak albo takie słówka, które przychodziły w dawniejszych ustępach, lecz uczeń o nich zapomniał, lub nowe słówka łatwiejsze od tych, które są w drukowanych preparacjach. Wszelki zakaz otwierania tych preparacyj w czasie przerabiania nowej lekcji jest głosem wołającym w puszczy, bo uczniowie wciąż do nich zaglądają, a żaden nauczyciel nie może równocześnie obserwować, co 30 lub 40 uczniów w danej chwili czyni równocześnie; sądziłbym, że z naukowych względów należałoby usunąć te preparacje na przyszłość, a zostawić tylko alfabetyczny słownik conajmniej w zakresie wyrazów koniecznych do lektury wyjątków z autorów łacińskich. Wtedy praca ze słownikiem byłaby jeszcze bardziej żywotna i interesująca.

Słusznie mojem zdaniem pisze Cramer o drukowanych preparacjach w Niemczech tak: „Nicht die gedruckten Schülerpräparationen, sondern die lebendige Arbeit unter Leitung des Lehrers soll es sein, die den Zugang zum Verständnis der klassischen Schriftdenkmäler eröffnet und sichert. Freilich ist bei solchem Verfahren die Arbeit und Anstrengung für den Lehrer viel grösser, aber das Arbeiten ist auch erfreulicher und lohnender“. W dalszym ciągu powiada Cramer, że takie preparacje miały wytrącić bryki z rąk uczniów. Jednak — stwierdza dalej — tak się nie stało; drukowane preparacje nazywa przeto „ein Schlag ins Wasser“.

Tak pobieżnie podaliśmy przekrój lekcji nowej pod kątem widzenia pracy nad słówkami w jej najważniejszych momentach. Przytem zdajemy sobie sprawę, że, gdybyśmy dokładnie każdą lekcję w klasach I, II, i III omawiali, to ujawniłyby się jeszcze inne rozmaite szczegóły i obraz lekcji nowej byłby bardziej uplastyczniony. Lecz wszystkiego — rzecz zrozumiała — w jednym artykule zrobić nie można.

II.

Każda lekcja nowa, chociażby najlepiej metodycznie przeprowadzona, nie da pożądanych przez program wyników, jeśli nauczyciel nie pyta, nie utrwala i nie egzekwuje materjału leksykalnego.

Utrwalenie materjału leksykalnego ma kilka form i faz: już w pierwszym ustępie języka łacińskiego, kiedy nauczyciel po przetłumaczeniu tekstu pisze słówka na tablicy, to czynnością tą wtórną utrwala przez pismo jeszcze raz te wszystkie słówka, które przedtem w ciągu tłumaczenia podał ustnie. W tzw. rekapitulacji uczniowie odczytują jeszcze raz lub wtórnie tłumaczą tekst, a przez to utrwalają sobie słówka w pamięci. Lecz na tem nie koniec. Uczeń pisze zadania szkolne, a chociaż w tych zadaniach może nieraz rozchodzić się o utrwalanie materjału gramatycznego, to jednak niema takiego zadania, gdzieby uczeń mógł się obejść bez materjału leksykalnego. Do utrwalania materjału leksykalnego przyczyniają się także ustępy polskie, przeznaczone do tłumaczenia. W wysokim stopniu przyczynia się do utrwalenia materjału leksykalnego także lektura kursoryczna, którą od czasu do czasu musi nauczyciel z uczniami uprawiać, a która jest także przez program polecona.

Uczniowie poznawszy słówka i wyrazy na godzinie szkolnej muszą w domu te słówka powtarzać czyli utrwalać, by się przygotować do lekcji następnej.

W ankiecie, na pytanie, jak i kiedy uczą się uczniowie słówek w domu, otrzymałem takie odpowiedzi: słuchowcy uczą się słówek w domu głośno, powtarzając je sobie kilkakrotnie, a wzrokowcy wpatrują się w tekst lub prepacację tak długo, aż się nauczą słówek; słuchowcy i wzrokowcy w jednej osobie czynią to samo metodą kombinacyjną, tj. głośno wymawiają słówka, a później jeszcze kilka razy powtarzają w pamięci.

Badani uczniowie uczą się w takich porach:

Klasa	po obied.	po połud.	wiecz.	rano	pora oboj.	wiecz. i rano	popoł. i rano	późno w nocy	brak odp.
II b	5	10	1	11	—	11	—	—	4
III a	5	5	4	2	—	1	4	—	3
VII a	3	2	7	5	—	6	1	—	2
VIII a	4	4	6	2	—	—	—	2	2
VIII b	1	6	10	2	2	6	—	—	1

Argumentacja tych, co uczą się po obiedzie: „ucz się po obiedzie, bo wtedy pamiętam jeszcze dużo słówek ze szkoły“ — to jest jedyny argument. Argumentacja uczących się po południu: „uczę się po południu, bo jak uczę się rano, to zanim przyjdę do szkoły, wszystko zapominam po drodze; po południu wygodniej mi uczyć się“ itd. Uczący się wieczorem: „bo wtedy mam spokój w domu; uczę się wieczorem, bo po południu mam nadobowiązkowe przedmioty; uczę się wieczorem, bo popołudniu daję lekcję; uczę się wieczorem, bo popołudniu spaceruję“ itd. Natomiast wszyscy odpowiadają, że uczą się rano dlatego, że mają świeży umysł; uczący się w nocy twierdzą, że mają wtedy idealną ciszę; ci, co uczą się w różnych porach odpowiadają zazwyczaj tak: „uczę się popołudniu, wieczorem powtarzam, aby trwale przyswoić sobie się powoli i muszę wielokrotnie powtarzać; w domu uczę się ile chcę i jeszcze ojciec podpędza mnie do nauki“ itd., słówka i zwroty; uczę się popołudniu, rano powtarzam, lub uczę się wieczorem, rano powtarzam“.

Z ankiety tej wynika, że niehygieniczne ze wzgędu na proces trawienia jest uczenie się bezpośrednio po obiedzie, lecz trzeba przyznać także pewną rację argumentacji uczniów, że

wtedy najwięcej pamiętają słówek ze szkoły; dobre jest uczenie się w godzinach popołudniowych, lepsze w rannych godzinach (z wyjątkiem tego jednego, co zapomina słówka po drodze); najlepiej mojem zdaniem robią ci, którzy uczą się popołudniu, a rano powtarzają.

Dodać także należy, że część uczniów uczy się więcej słówek w szkole niż w domu a część więcej w domu, niż w szkole. Statystyka pod tym względem podaje takie cyfry:

Klasa	uczy się w szkole		uczy się w domu	
	ilość	procent %	ilość	procent %
II b	17	*40*	25	*59*
III a	12	*50*	12	*50*
VII a	10	*38*	16	*61*
VIIIa	5	*25*	15	*75*
VIII b	8	*28*	20	*71*
suma	52	*37*	88	*62*

Argumentacja tych, co uczą się więcej w szkole: „w szkole słówka wyjaśnia profesor, a w domu muszę się sam uczyć ponieważ w szkole tłumaczymy, piszemy, objaśniamy; słówka w domu nie przedstawiają dla mnie takiego zainteresowania jak w szkole; bo chciałbym w szkole prześcignąć kolegów, a w domu nie mam kogo"; niektóre odpowiedzi powtarzają się.

Uzasadnienie tych, którzy uczą się więcej w domu: „w domu mam więcej czasu na uczenie się słówek; w domu mogę więcej skupić się, godzina szkolna nie wystarcza mi na gruntowne opanowanie słówek; w szkole jestem więcej przemęczony niż w domu, bo w szkole muszę myśleć także o innych rzeczach;w domu mam nieograniczony czas do nauki; bo uczę się powoli i muszę wielokrotnie powtarzać; w domu uczę się ile chcę i jeszcze ojciec podpędza mnie do nauki" itd., niektóre odpowiedzi powtarzają się.

Z tej ankiety widzimy, że jedni uczniowie szybko w szkole uczą się i szybko zapominają, drudzy powoli orjentują się lecz dłużej pamiętają to, czego uczyli się; wszystkich wszystkiego nie można nauczyć w szkole; przyznać zdaje się musimy, że argumentacja uczniów, którzy więcej uczą się słówek w domu niż w szkole jest silna. Głównem zadaniem nauczyciela w tym kierunku powinno być to, żeby uczeń uczył się w domu, tak, jak uczy się w szkole. Praca w szkole powinna w wysokim stopniu ułatwiać pracę uczniowi w domu.

Ankietą posługuję się często w mej praktyce szkolnej, a chociaż niezawsze można się liczyć z tem, o czem piszą uczniowie w ankiecie, to jednak dobrze jest wiedzieć, co myślą uczniowie o tem, do czego my zdążamy.

III.

Tak przygotowany uczeń przychodzi do szkoły nazajutrz: godzina zaczyna się od tzw. egzekutywy, tj. wymagania nietylko zasobu wiedzy, lecz także rozwinięcia i wyćwiczenia sprawności uczniów w uchwyceniu przerobionego materjału, że się tak wyrażę w zmiennej nowej szacie. Egzekutywa powinna być prawie zawsze w ścisłym związku z dalszem utrwalaniem materjału lekcji poprzedniej. Jako były uczeń przypominam sobie dobrze jeszcze teraz jednego swego nauczyciela języka łacińskiego w niższem gimnazjum. Nauczyciel ów uczył nas bardzo dobrze, a mówię to z mego dzisiejszego punktu widzenia, a nie z ówczesnego punktu ucznia, bo wtedy jeszcze tych rzeczy nie rozumiałem; nauczyciel ów darzył nas zbyt wielkiem zaufaniem, że się uczymy, a skutkiem tego rzadko nas pytał i słabo egzekwował. Uczniów klasyfikował raczej według innych przedmiotów niż według swego. My uczniowie wyczuliśmy wnet jego słabą stronę i uczyliśmy się łaciny każdy według swobodnego uznania, co w praktyce oznaczało iść po linji najmniejszego oporu lub jeszcze dosłowniej prawie niczego się nie uczyć. Podczas hospitacji dyrektora, który sam był filologiem, wyniki u tego nauczyciela były fatalne, a my uczniowie — zdaje się — najlepiej wiedzieli, dlaczego były takie wyniki. Lecz ‘wzorowe’ nasze lenistwo zostało także wzorowo ukarane w następnym roku. Przyszedł nowy nauczyciel; ten przekonawszy się zaraz w początkach, że mamy wielkie braki, postanowił je usunąć, a równocześnie posuwał się szybko dalej z nowym materjałem. Praca była ciężka i to tem cięższa, że na godzinach mało i niemetodycznie uczył, a cały ciężar z godzin szkolnych przerzucał na pracę uczniów w domu, i w ten sposób nas przeciążał. Okolicznością łagodzącą, że tak postępował, było to, że miał wielkie zaległości odziedziczone po swoim poprzedniku. Za to potężna i energiczna była u tego nauczyciela egzekutywa, chociaż nie można jej nazwać dobrą, skierowana przeważnie na ocenę, tj. klasyfikację, uczniów. Słówek np. pytał mechanicznie jako

deklamacji, od początku do końca, i to w takim porządku, w jakim następowały one po sobie w preparacji w czytance. Kto znał wszystkie słówka z jednego, czasem z dwóch ustępów na godzinie, lecz nie znał porządku, w jakim one były w czytance, siadał jako nieprzygotowany. Słówka tą drogą nabyte prędko się zapominało, lecz, że dużo było godzin i stale egzekwował, to każdy musiał mieć pewien zasób materjału, leksykalnego. Tak postępował z gramatyką i z innym materjałem naukowym. Wyniki u niego, chociaż źle uczył, były całkiem dobre.

Z naprowadzonych przykładów widzimy, że obaj ci nauczyciele, jako fachowcy, pozostawali do siebie w rażącej sprzeczności, a z ich metod wynikają dwie prawdy: pierwsza, że egzekutywa niewystarczająca, nawet przy dobrem nauczaniu, daje ujemne wyniki; druga, że energiczna egzekutywa, choć nieumiejętna, nawet przy lichem nauczaniu, może dać dodatnie wyniki. Stąd też zamiast twierdzenia Poppa, który żąda, by uczyć więcej niż kontrolować, należałoby postawić zasadę: należy dobrze uczyć i dobrze egzekwować.

Pytanie, czy w duchu dzisiejszych postulatów ma nauczyciel postępować tak jak pierwszy, czy tak jak drugi. Odpowiedź musi w pierwszym i drugim wypadku brzmieć negatywnie, gdybyśmy mieli przed sobą taki typ nauczyciela, któryby uczył tak, jak pierwszy, a egzekwował, tak jak drugi, bo w tym ostatnim wypadku żądanoby jeszcze pewnej modyfikacji, pewnego ulepszenia nietylko egzekutywy, lecz także nauczania. Dziś żąda się, by dobre wyniki pracy, opierały się także na umiejętnych metodach nietylko nauczania, lecz także utrwalenia, odpytywania, egzekwowania przerobionego materjału oraz wychowawczego przytem oddziaływania — krótko powiedziawszy, dzisiejszy nauczyciel powinien we wszystkich częściach godziny i w całym kursie nauczania języka łacińskiego stać na wysokości swego zadania.

Jak powinna w praktyce wyglądać tak zwana stara lekcja tj. egzekutywa i utrwalanie pod kątem widzenia pracy nad słówkami? Sądziłbym, że tutaj należałoby się trzymać takich wskazówek: cała stara lekcja powinna się odbywać przy zamkniętych książkach i zeszytach, a otwartych głowach uczniów, o ile to ostatnie od nauczyciela zależy. Lekcja stara powinna być dobrze obmyślana: cały materjał leksykalny z poprzedniej lekcji powinien jeszcze raz wystąpić w zmie-

nionej szacie, a jeśli to niezawsze możliwe, to tylko w swej najważniejszej części. Tak samo do odpowiedzi powinien być cały ogół klasy powoływany, a jeśli i to także nie zawsze jest możliwe, zwłaszcza w wielkich klasach, to nauczyciel powinien raczej powoływać uczniów słabszych, przeciętnych, niż zdolniejszych i najzdolniejszych. Każde pytanie należy kierować do całej klasy tak, by każdy uczeń w pierwszej chwili myślał, że to on będzie na to pytanie odpowiadał, a nie tylko wywołany po pytaniu uczeń. Tak stawiane pytania zmuszają wszystkich uczniów do skupienia uwagi, a to tembardziej, że tu chodzi głównie o utrwalanie materjału. Po pytaniach, zwłaszcza trudniejszych, można dać uczniom chwilkę czasu do zastanowienia się i dopiero potem wywołać jednego z uczniów do odpowiedzi. Wszelkie ewentualne błędy w odpowiedziach wywoływanych uczniów powinni inni uczniowie nietylko poprawiać, lecz także uzasadniać, chyba, że wyłoni się taka kwestja, z którą uczniowie nie mogą dać sobie rady. Wówczas jest wskazane, by nauczyciel wystąpił i w doraźny sposób wyjaśnił to, co dla uczniów nie było zrozumiałe. Odpowiedzi powinno się żądać stanowczej, bo kiedy uczeń przekona się, że nauczyciela nie można czembądź zadowolić, lecz przeciwnie nauczyciel żąda od niego sumiennej i rzetelnej pracy, to się także psychicznie ustosunkuje do takiego nauczyciela. Jest to bardzo ważny moment wychowawczy, który nieraz może więcej znaczyć, niż kilka pogadanek, na ten temat wygłoszonych. O tem trzeba zawsze pamiętać.

W samych początkach nauczania egzekutywa leksykalna musi iść ręka w rękę z gramatyką; granice jej są wtedy bardzo wąskie, bo szczupły jest wtedy zasób leksykalny i nikłe wiadomości z gramatyki. Ustęp pierwszy w klasie zawiera 13 słówek a materjał gramatyczny tego ustępu ogranicza się do singularis deklinacji pierwszej i do singularis indicativu praesentis pierwszej czyli *a*-konjugacji — to są właśnie te granice leksykalne i gramatyczne tego ustępu, w których musi się obracać cała egzekutywa. I tutaj punktem wyjścia ma być zawsze zdanie, a nie słówka w oderwaniu (zwrotów w tym ustępie jeszcze niema). Na poprzedniej lekcji uczniowie tłumaczyli takie zdania z cytowanego ustępu: *Marcia portam pulsat: Paulam voco. Paula ad portam properat. Apud Paulam est Lucia. Lucia ad Paulam: Quo properas Paula? Paula: Marcia me vocat.* Jeżeli teraz nauczyciel na starej lekcji bę-

dzie pokolei podawał uczniom np. takie zdania do tłumaczenia: *Pulsas portam? Portam pulso. Propero ad portam. Vocas Marciam? Quo properat Paula?* itd., to będzie to ta zmieniona szata tych ostatnich zdań w stosunku do zdań pierwszego ustępu.

Na podstawie takich i tym podobnych zdań uczeń pod kierunkiem nauczyciela utrwali sobie jeszcze raz nietylko cały materjał leksykalny z lekcji poprzedniej, lecz także i cały materjał gramatyczny w tym ustępie zawarty. Nieco później będą i uczniowie sami podawać tak zmodyfikowane zdania. W ustępie drugim klasy pierwszej materjał leksykalny powiększa się o dalszych 8 wyrazów, w trzecim również o 8 itd., a w parze z tem powiększa się również horyzont wiadomości gramatycznych. To wszystko powinien nauczyciel wykorzystać, by nadać egzekutywie jeszcze bardziej ożywiony, charakter i zainteresowanie. Poza retrowersją, parafrazą, memorowaniem przysłów i wszelkich innych zdań o wychowawczym charakterze, powinien nauczyciel zastosować na wzór języków nowożytnych rozmówki łacińskie; uczniowie przyzwyczajają się w rozmówkach do posługiwania się wyrażeniami i zdaniami łacińskiemi w pewnych typowych a pożytecznych szablonach, a co najważniejsze, utrwalają sobie w pamięci nietylko materjał leksykalny z poprzedniej lekcji, lecz z kilku lekcyj, a nieraz nawet zachodzi konieczność podania jakiegoś nowego wyrazu, by przetłumaczyć pożądane w danem miejscu zdanie. Nauczyciel sam zadaje z początku pytania, aby wdrożyć uczniów do prowadzenia takich rozmówek, później uczniowie pod jego kierunkiem. Od czasu do czasu pożądana jest generalna powtórka materjału leksykalnego, we formie rozmówek, na tle większego materjału naukowego. Później, kiedy uczniowie już dobrze orjentują się w takich rozmówkach, mogą podawać treść przerobionego ustępu w języku łacińskim. W rozmowach i w podawaniu treści przerobionego ustępu po łacinie uczniowie chętnie biorą udział, bo jeden jeszcze nie skończył opowiadania, a już zgłasza się drugi lub trzeci, którzy krytykują, że pierwszy to opuścił lub tamto źle powiedział i że oni to samo lepiej uczynią. W ten sposób stwarza się na tle przerobionego ustępu szlachetna emulacja i wyścig pracy, stosowany we wszystkich dziedzinach dzisiejszego życia.

Tak pojęta egzekutywa będzie nietylko oceną postępów

uczniów w tym kierunku, co zresztą stwierdza nauczyciel w ciągu całej godziny, lecz co ważniejsze będzie ona także równocześnie utrwaleniem i opanowaniem wymaganego przez program materjału leksykalnego. Samodzielna i czynna praca uczniów na wszystkich częściach lekcji i na wszystkich godzinach będzie też skuteczną walką z brykami, bo uczeń sam przyjdzie wkrótce do przekonania, że przy takiej pracy szkolnej bryk mu niczego nie daje.

Kończąc, chciałbym jeszcze raz najważniejsze omówione momenty zaakcentować i wysunąć na plan pierwszy. Te są:

1. modulacyjnie czasem kilkakrotnie przeczytany przez nauczyciela tekst nowej lekcji ma być punktem wyjścia pracy nad słówkami.

2. Zasób leksykalny poszczególnych, początkowych lekcyj powinien być mniejszy, w późniejszych obfitszy.

3. *a*. Słówka nowe w początkach podawać ustnie nie naraz, tylko pokolei, na tle tłumaczonych zdań; — *b*. w późniejszych lekcjach powinien się uczeń sam domyślać nieznanych wyrazów na podstawie znanych; — *c*. do słownika powinien uczeń zaglądać dopiero wtedy, kiedy wszelka możliwa kombinacja na podstawie tekstu zawodzi; w imię umiejętnej i systematycznej pracy ze słownikiem, jakiej wymaga program, powinny na przyszłość zniknąć z naszych czytanek drukowane preparacje od drugiego półrocza klasy III począwszy, tj. od chwili czytania oryginalnych wyjątków z autorów łacińskich.

4. Słówka należy łączyć w początkach w grupy rzeczowe, później etymologiczne, przejrzyste i niezbyt naciągnięte.

5. Pisanie, nie dyktowanie słówek powinno się odbywać z zasady po przetłumaczeniu całej nowej lekcji jednym ciągiem.

6. Przy słówkach należy ćwiczyć nietylko słuch, lecz także wzrok i język uczniów.

7. Utrwalanie materjału leksykalnego ma kilka form i faz.

8. Nauczyciel powinien zwrócić uwagę za pośrednictwem rodziców i opiekunów na nieracjonalne uczenie się niektórych uczniów w domu.

9. Cały materjał leksykalny powinien wystąpić jeszcze raz w różnych modyfikacjach na tle zdań na tzw. starej lekcji.

10. Egzekutywa materjału leksykalnego powinna iść w początkach ręka w rękę z gramatyką, później prócz innych form powinny wystąpić rozmówki łacińskie oraz samodzielne streszczanie ustępów po łacinie na plan pierwszy.

SPRAWOZDANIA

ANGELIKA KARNIEJEW

CZY „ŚLADAMI PAMIĘTNIKÓW CAESARA"?

Wpływ Caesara jako wodza w Europie zachodniej doby Odrodzenia został oddawna rozpoznany. Wobec tego usprawiedliwione jest pytanie, jak przedstawia się to zagadnienie na gruncie polskim. W badaniu ograniczymy się do małego tylko odcinka dziejów, i to tylko do postaci wodzów, u których tego wpływu dopatrywano się, oraz do współczesnych im teoretyków wojskowości — a to ze względu na rolę, jaką Caesar odgrywa u wielu z pośród ich zachodnich kolegów.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że dowody wpływu muszą być zupełnie wyraźne i pozwalać na stwierdzenie, że korzystanie z Caesara jest w danym wypadku jasne i bezpośrednie. Jedynie obecność tego rodzaju wypadków daje nam prawo także pewne rzeczy mniej widoczne złożyć na karb wpływu.

Jeśli chodzi o praktyczne wykorzystanie doświadczenia wojennego z dalekiej przeszłości dla konkretnych wypadków, to niewiele jest w historji faktów takich, jak ocena szyku bojowego wojska przy pomocy Liviusa przez Fitzsimona w bitwie pod Białą Górą[1]). Jeśli wojskowość rzymska wpłynęła na przekształcenie się wojskowości nowożytnej, to działała jako całość organizacyjna, i to przeważnie przez teoretyków (Vegetius, cesarz Leon itd.), bynajmniej zaś nie przez poszczególnych swoich wodzów, tak, jak to widzimy np. w działalności największych reformatorów, ks. Maurycego Orańskiego i jego kuzyna Ludwika Wilhelma v. Nassau.

---

[1]) Np. H. Delbrück, Geschichte der Kriegskunst im Rahmen der politischen Geschichte, [3]Berlin 1920, IV, 226.

Badanie czynów wojennych Caesara datuje się dopiero od wieku XVI; przedtem zadawalano się entuzjastycznemi pismami pochwalnemi tego ideału wodza. Cesarz Karol V pisał komentarze do Caesara, Fernando Gonzaga zajmował się odszukaniem miejsc, gdzie staczał walki. Po kilku wydaniach przekładów *Pamiętników* Caesara, oraz po książce Syméon'a pt. *César renouvelé* (Paris 1558)[2]), zjawia się w r. 1559 pierwsza gruntowna rozprawa o wojskowości Caesara. Jest nią Petri Rami [Pierre La Ramée, 1515—1572] summi philosophi et oratoris liber *De militia C. Julii Caesaris*[3]). Nie znając dzieł poprzedników, nie mogę stwierdzić, o ile Ramus z nich korzystał[4]). Zdanie Jähnsa, że układ książki Ramusa jest charakterystyczny dla tych czasów, nie jest jasne[5]).

Ramus, wychodząc z założenia, że w sztuce wojennej ze wszystkich narodów najbardziej odznaczyli się Rzymianie, a ze wszystkich Rzymian — Caesar (s. 1), omawia, nawiązując do jego osoby, całokształt sztuki wojennej. rzymskiej, a więc: 1. apparatus belli (delectus s. 1—15, commeatus, s. 15—22), — 2. castra (progressus agminis in castra s. 23—42, architectura castrorum s. 42—50, castrensis armorum meditatio s. 50—61), — 3. proelii congressus (vires s. 62—67, locus s. 67—73, ordo s. 74—88, cohortatio s. 88—93). Następują rozdziały jakby poza nawiasem tego, co sam określił mianem *disciplina militaris:* de fortuna s. 93—130, oppugnatio locorum s. 130—154, propugnatio s. 155—173, de proelio navali s. 173—282, obsidio Massiliae s. 182—204, Alexandriae oppugnatio s. 201—224. — Te dwie części rozprawy różnią się metodą ujęcia. W drugiej przedstawia Ramus rzeczowo sprawy, zaznaczone w nagłów-

---

2) Por. Jähns, Geschichte der Kriegswissenschaften, München und Leipzig 1890, Abt. I, s. 448 nn.

3) Korzystam z wydania w Bazylei, s. a.

4) Znaczenie dzieła Ramusa wobec poprzedników określa Fr. Gundolf, Caesar. Geschichte seines Ruhms, Berlin 1925, s. 127 n. Wykaz treści podaje Jähns, s. 450. Nie znam dzieł Waddingtona, De P. Rami vita, scriptis, philosophia, Paris 1848 oraz: R., sa vie, ses écrits et ses opinions, Paris 1855.

5) Jähns, s. 450. Z autorów późniejszych układ podobny wykazuje Lipsius w De militia Romana (I. Lipsii, Opera omnia, Antverpiae 1637, v. III).

kach, przepisując częstokroć prawie dosłownie urywki z Caesara, i scriptores Caesariani podając od siebie krótkie uwagi komentujące, zaznaczając też, jaka zaleta Caesara w danym wypadku jest reprezentowana (np. roztropność s. 164, łagodność, względem pokonanych s. 114 — i wyjątki s. 115, 177, umiejętność wykorzystywania zwycięstwa s. 162, 177; umiejętne użycie zachęty s. 134, 114, 116, 175 b[6]), jego szczęście s. 176 b). Znamienna jest pierwsza część pracy, a to przez dążenie ujęcia całej wojskowości rzymskiej na podstawie tego jedynie, co wiemy o Caesarze. Wynosi go to do godności jej reprezentanta, wodza rzymskiego κατ' ἐξοχήν. Takie przedsięwzięcie jednak jest niemożliwe; Ramus niejednokrotnie zmuszony jest poprzedzać omówienie działań Caesara przez rodzaj wstępu, opartego na innym materjale. Czyny Caesara są wtedy jakby wyprowadzone z ogólnej zasady. Na wyraźne wskazanie dla teraźniejszości niema miejsca w książce Ramusa. Dzieło jego ma charakter naukowy. Jedyny wyraźny projekt nie pochodzi z rozważań nad Caesarem. Dotyczy on założenia sztuki wojennej oraz ćwiczenia przyszłych żołnierzy. Uskuteczniono ten projekt nie pod wpływem Ramusa.

Może było to raczej dzieło Justusa Lipsiusa (1547—1606), nauczyciela ks. Maurycego Orańskiego, ale też nie na podstawie Caesara dokonane. Lipsius w badaniach swych nad ustrojem i taktyką wojska rzymskiego, czerpie zeń niewiele poza opisami poszczególnych jego działań, które stały się już poprostu klasyczne[7]). W roli, przydzielonej Caesarowi, zgadza się Lipsius z Ramusem[8]): „duces etiam aliqui eximii: ut parens ille Romulus, ut M. Furius Camillus, ut L. Papirius Cursor quem vel Alexandro parem (si venisset) Livius opponit; est M. Claudius Marcellus igneo impetu; ut Q. Fabius Maximus salubri tarditate; ut P. Scipio Africanus prior, divina felicitate; et posterior, divina virtute, ut denique (nam omnes quis numeret?) caput et culmen C. Julius Caesar, fortuna, peritia, magnitudine et, celeritate animi super omnes

---

6) Przez literę *b* wyróżniam drugą z (mylnie) jednakowo numerowanych stronic 173—176 cytowanego wydania.

7) Jak to wnioskować można z licznych dzieł i wydań tego czasu, wyliczonych np. u J. Pohler, Bibliotheca historico-militaris, Leipzig 1899, IV s. 178 nn.

8) De magnitudine Romana l. IV. (Opera III, s. 458 B).

qui arma tractarunt aut tractabunt". Te i inne zalety Caesara, poczęści znane nam już z Ramusa, podnosi Lipsius w różnych swoich dziełach[9]). Różni się on od Ramusa w poglądach na przestrzeganie karności przez Caesara. Podczas, gdy ten ostatni nazywa go (s. 32) „disciplinae severissimus exactor", Lipsius wyraża się[10]); „o mirum magni benignique animi, sed non nati ad priscam et strictam disciplinam, quae ab illo profecto magis magisque est lapsa". Lipsius zna także wady Caesara: jego wybujałą ambicję i żądzę sławy i wynikające stąd. czyny[11]), jego przewrotność w usuwaniu wrogów[12]). Jego wyrok ostateczny brzmi[13]): „Ego te Caesar, ob alia tua et caussas belli, non nimis amo: in ipso bello et ob hanc dementiam, inter heroas numero, et meo calculo, hac quidem re Divus esto".

Ramus i Lipsius dają nam przybliżone granice czasowe, w obrębie których zajmiemy się teraz zbadaniem wpływu Caesara w Polsce. Nie wykazują go prace teoretyczne, które wymieniam w porządku chronologicznym: J a n T a r n o w s k i, *Consilium rationis bellicae,* Tarnów 1558[14]), gdzie autora z Caesarem porównuje domorcsły epigram na karcie tytułowej, B i e l s k i M a r c i n, *Sprawa rycerska według postępku y zachowania starego obyczaiu Rzymskiego, Greckiego, Macedońskiego y innych narodów pierwszego y mnieyszego wieku, tak Pogańska iako y Krześciańska, z rozmaitych ksiąg wypisana ku czytaniu y nauce ludziom rycerskim pożyteczna* (Kraków 1569); J a n S a r n i c k i, *Księgi hetmańskie z dziejów rycerskich wszystkich wieków zebrane i praktyka albo experientia hetmanów najjaśniejszego Zygmunta Starego, kr. polskiego, a także cesarza Karola V i Solimana tureckiego, dwu panów walecznych naszego wieku, objaśnione ku ćwiczeniu młodych ludzi nacji naszej polskiej*[15]) (powstały por. 1570

[9]) Orjentuje w tem index, umieszczony na końcu IV t. cytowanego wydania dzieł Lipsiusa.

[10]) De milit. Rom. (Opera III, s. 203 A).

[11]) Monita et exempla politica c. 14, 18 (Opera IV, s. 257 B; 274 B).

[12]) Civilis doctrinae l. IV (Opera IV, s. 75 AB).

[13]) Monita et exempla politica c. 12 (s. 248 B).

[14]) Przedruk. homograficznym sposobem A. Piliński, nakł. Bibl. Kórnickiej, r. 1879.

[15]) Dzieła tego, które pozostało w rękopisie (w Bibl. Ossolińskich we Lwowie), nie znam.

według Encyklopedji Powsz. Orgelbranda, XIII, kol. 324 a); Łaski Stanisław, *Spraw i postępków rycerskich i przewagi opisanie krótkie, z naukami w tey zacney zabawie potrzebnemi,* Lwów 1599[16]). Jana Zamoyskiego, *Rada sprawy wojennej* jest do dosłowności dochodzącem powtórzeniem książki Tarnowskiego.

Bardzo wyraźnie na swoje doświadczenie, zdobyte w wojnach we Francji, Hiszpanji i innych krajach powołuje się Łaski (passim). Dziełko jego — to podręcznik, oparty jedynie na praktyce. To, co podaje, to współczesny stan sztuki wojennej, przystosowanej zwłaszcza do stosunków polskich. Jeszcze bardziej zarysowuje się to u Tarnowskiego-Zamoyskiego. Caesar nie odgrywa w tych dziełach żadnej roli. Bielski traktuje o sztuce wojskowej starożytnej w pierwszych czterech częściach, opierając się głównie na Frontinie i innych teoretykach. Już tytuły tych dzieł, podane w pełnem brzmieniu, świadczą o ich praktycznych tendencjach i ogólnym charakterze podręcznikowym, specjalnie uwzględniona jest w nich raczej taktyka Turków i Tatarów, z któremi Polacy mieli wtedy najwięcej do czynienia, i których wojskowość istotnie silnie w tym czasie na polską oddziałała, wobec słabych zupełnie wpływów z Zachodu[18]).

Przejdźmy więc raczej do wodzów: Batorego, Zamoyskiego i Żółkiewskiego, w których badacze wpływ Caesara widzieli. Wiadomość, że Batory i Zamoyski rozczytywali się w Caesarze, podaje jako pierwszy Nehring[19]), a za nim idą (co do króla) T. Korzon[20]), K. Morawski[21]) i (co do

---

[16]) Dzieło to odpowiada 'księgom wtórym' rękopisu, zatytułowanego: „Nauka J. Tarnowskiego o gotowości wojennej ksiąg dwoje“, a wydrukowanego przez M. Malinowskiego na s. 1—114 u „St. Łaskiego... prace naukowe i dyplomatyczne“, Wilno 1864. Autorstwa Ł. dowodzi wydawca na s. VII nn., nie znając, jak się wydaje, cytowanego druku.

[16]) Wyd. w Collectanea vitam resque gestas J. Zamoyscii ... illustrantia, ed. A. T. Działyński, Posnaniae 1861, s. 233—266.

[18]) Por. mjr. O. Laskowski, Odrębność staropolskiej sztuki wojennej, Warszawa 1935 (odb. z Przegl. hist.-wojsk. VII, zeszyt 1).

[19]) O historykach polskich XVI w. cz. I. O życiu i pismach R. Heidensteina, ²Poznań 1862, s. 28.

[20]) Dzieje wojen i wojskowości w Polsce, Lwów 1923, II. s. 83.

[21]) A. Patrycy Nidecki, jego życie i dzieła, 1892, s. 228.

obydwu) Łempicki[22]), tak, że dla ucznia jego ostatniego, Antoniego Knota[23]), rozczytywanie się Batorego w Caesarze jest już „powszechnie znaną rzeczą“. Zaznaczyć należy, że ani Nehring, ani (powołujący się na siebie nawzajem) jego następcy nie podają żadnego dowodu, na którym twierdzenie takie mogłoby się oprzeć.

Teza, że Stefan Batory Caesara nie znał, nie miałaby oczywiście widoków powodzenia. Posiadał przecież głębokie wykształcenie humanistyczne, a na Ceasara mógł zwrócić uwagę podczas pobytu na dworze arcyks. Katarzyny, we Włoszech, gdzie kult tego wodza rzymskiego był szczególnie żywy, poza tem znał się na teorji wojskowości, czytywał dzieła z tej dziedziny[24]), chętnie korzystał z doświadczeń współczesnych dowódców, gdy np. po zwycięstwie Zborowskiego pod Lubieszowem[25]), lub po zdobyciu Wieliża przez Zamoyskiego[26]) podczas trzeciej wyprawy moskiewskiej (w których nie brał udziału), zarządza przegląd wojsk na pozycjach, zajmowanych podczas bitwy. W ten sposób oczywiście mógł skorzystać o wiele więcej, niż z bardzo nawet intensywnego rozczytywania się w Caesarze, którego opisy operacyj wojennych niezawsze są dokładne i jasne (zwłaszcza w szczegółach topograficznych), tak, że dotychczas ustalenie ich napotyka na trudności. Fryderyk W. np. był zdania, że z pism Caesara niczego się nie można nauczyć[27]), a w epoce omawianej Lipsius skarży się aż dwukrotnie na ich niejasność[28]).

Batorego, powracającego z pierwszej wyprawy moskiew-

---

[22]) Śladami Pamiętników Cezara (Hetman J. Zamoyski współpracownikiem Heidensteina), Zamość 1920, s. 12, oraz: Działalność J. Zamoyskiego na polu szkolnictwa 1573—1605, Kraków 1921, s. 64, uw. 2.

[23]) Urywki z dziejów propagandy wojennej S. Batorego, Lwów 1929, s. 2.

[24]) Tak np. podczas wyprawy na Psków ochotnicy niemieccy ofiarowują mu książkę hr. R. Solmsa o sztuce wojennej, która mu się przydaje następnego już dnia; ks. Piotrowski Jan, Dziennik wyprawy Batorego pod Psków, Kraków 1894, s. 68.

[25]) Np. u Korzona s. 13.

[26]) Dyarjusz oblężenia i zdobycia Wieliża, Wielkich Łuk i Zawołocia... przez Łukasza Działyńskiego (Acta hist. res gestas Poloniae illustrantia t. XI: Sprawy wojenne króla Stefana Batorego, wyd. ks. Polkowski, Kraków 1887, s. 203—243, s. 214.

[27]) Np. u Delbrücka I s. 616.

[28]) Przedewszystkiem Poliorceticon l. I (Opera omnia, III, s. 281 A).

skiej, liczy Januszowski[29]) (w mowie powitalnej) „między owe dawne Aleksandry, Juljusze, Karły i między one, którzy męstwem i dzielnością swą dochodzili tytułów przedniejszych“. Są to oczywiście tylko typowe w takich mowach zwroty. Sam Batory, żądając od Moskwy okupu, powołuje się na przykład Karola V w tej mierze, nie sięgając do Caesara, choć mógłby go przytoczyć, skoro uczynił to nuncjusz papieski, Caligari[30]). Współczesność była mu bliższa, zresztą też bardziej miarodajna, z niej też najwięcej czerpał.

Dla tych samych powodów jego słynna propaganda swych czynów przez dzieła historyczne (Brutus, Guylay, Foreas, Orzelski, Solikowski, Bielski, Gwagnin, Stryjkowski) oraz pisma ulotne nie może być wyprowadzana z podobnej dążności Caesara; metody były stosowane wcześniej od Batorego na zachodzie (tak postępował np. cesarz Maksymiljan I, panujący 1493—1519. Służyli jego ideom historycy jak Statius, Spiessheimer, Sundheim, Manlius, Grünpeck[31]).

Jednem z ogniw tej propagandy Batorego i jego niezmordowanego pomocnika Zamoyskiego, oficjalnem ujęciem ich czynów jest dzieło R e i n h o l d a H e i d e n s t e i n a, *De bello Moscovitico libri VI* (Cracoviae 1584), którego charakter ustalił ostatecznie St. Łempicki w cytowanej już rozprawie „Śladem Pamiętników Cezara“. Wywody Łempickiego cierpią na brak argumentów. Poza przytoczonem już, a mającem swe źródło u Nehringa świadectwem o uwielbieniu, jakiem darzyli Caesara Batory i Zamoyski, postać wodza rzymskiego wspomniana jest jeszcze tylko raz (s. 15): „Nie bez słuszności przypuścić można, że taka myśl sprostania Caesarowi (mian. przez dzieło historyczne) wydawać się musiała kanclerzowi czemś naprawdę wielkiem, czemś szczególnie pociągającem z uwagi na urok wielkiego naśladownictwa klasyczności“.

---

29) W Acta hist. res gestas Poloniae illustr. s. 18.

30) Monumenta Poloniae Vaticana, tom. V a L. Boratyński p. m. collecta E. Kuntze et Cz. Nanke ed., Kraków 1923—33, Bolognetti commentarii rerum Polonicarum, epistularum appendix, s. 658.

31) Por. np. Ed. Heyck, Deutsche Geschichte, Biefeld und Leipzig 1906, II s. 398. Co do pism ulotnych Batorego, R. Hausmann, Studien zur Geschichte des Königs Stephan von Polen, Theil I, Dorpat 1880; por. poza tem przytoczone przez Knota s. 2 uw. dzieła (Prutz, Geschichte des deutschen Journalismus, 1843, Weller, Die ersten deutschen Zeitungen, Winckelmann, Bibliotheca Livonica historica) — których nie znam.

Możliwe, ale kto zaręczy za myśli niewypowiedziane? Sam Heidenstein powołuje się na Caesara jedynie we wstępie do dzieła (s. 3) jako na niedościgniony wzór dla wszystkich, piszących 'komentarze'. Ale wnioskować stąd, że pisał 'komentarze', by naśladować Caesara, byłoby dopuszczalne tylko wobec istnienia innych mocnych argumentów przemawiających za wpływem Caesara. *Commentarii* pisali wtedy ludzie o naśladownictwo Caesara wcale nie podejrzewani. Pogląd Władysława Nehringa (s. 28) w omawianej kwestji jest subjektywny i nieoparty na żadnych konkretnych danych. Warto przytoczyć jego słowa, by wykazać, jak formowało się i na czem opierało tak powszechne od niego mniemanie: „Cezar był ulubionym autorem i Batorego i Zamoyskiego; Heidenstein dzielił z tymi równe zamiłowanie, z pism zaś historyka rzymskiego usiłował uczyć się kunsztu historycznego i naśladował go w tem, że wielkości czynów nie osłabiał szumnem a czczem słowem. Co u Cezara łączyło się w jednym umyśle: i dzielność czynu i siła w opowiadaniu, to powiązało się szczęśliwą harmonją w dokonanych czynach króla i hetmana i w opowiadaniu historyka". — Takie zestawienie jest z mego punktu widzenia zupełnie dowolne. Dałoby się zrobić podobne nie dla jednego tylko Heidensteina. Prostota w stylu niekoniecznie musi wypływać z wzorowania się na Caesarze. Zresztą sam Nehring mówi na s. 53 o „pewnej nieudolności i rozwlekłości stylu" Heidensteina, czego chyba wpływom caesariańskim nie przypiszemy.

O swym patronie, kanclerzu Zamoyskim, pisał Heidenstein w jego życiorysie[32]): „Mirum autem erat, quam literis deditus esset, ita ut inter ipsa negotia, curasque publicas, armaque etiam ab iis non discederet[33]). Ita ut in reprehensionem aliquando hominum studium id eius incurreret, ut cum clarissimi Imperatoris Iulii Caesaris exemplo grammatica Donati et Divi Augustini sub transitum fere per Regnum Tartarorum cura ipsius edita fuisset". Inny dowód podobnego stosunku do spraw literackich i naukowych podaje Stani-

[32]) Vitae J. Zamoyscii... libri III w Collectanea s. 135.

[33]) Por. ks. Fabjan Birkowski, Jozue za kolędę dany roku Pańskiego 1613, Jan Zamoyski na mszy zadusznej... wspomniany, w druk. A. Piotrkowczyka 1613, s. 26: „Jednego dnia nie opuścił, żeby historyjej Lewiusza abo Cezara nie widział".

sław Łempicki[34]), mówiąc o liście Zamoyskiego do Reszki[35]), pisanym z obozu pod Wielkiemi Łukami. Zaznacza on, że hetman ‚podobnie, jak Batory i inni wodzowie ówcześni, wysyłają często listy w sprawach naukowych, literackich itp. z obozów wojennych. Przykładów tego zresztą jest u Zamoyskiego więcej. Wraz z Łempickim widzieć w tem należy ogólny rys humanistyczny, „niby zapatrzenie się na Aleksandra W. lub Cezara, którzy nawet w czasie najsroższych wojen nie zapominali o potrzebach ducha, o literaturze i nauce, a czynili tak i inni wodzowie starożytni, dając w ten sposób wzór godny naśladowania swoim następcom“. Specjalnie więc do objawów wpływu Caesara zaliczyć go nie można.

Inne, zresztą nieliczne, porównania Zamoyskiego z Caesarem (np. życzenie Brutusa, by hetman, jak drugi Caesar, sam swe czyny opisał)[36]), mają już charakter chwalb humanistycznych, między któremi znajdziemy też zestawienie niezwyciężonego wodza polskiego z Ciceronem, imperatorem z pod Issos[37]).

W każdym razie na podstawie wszystkich powyższych rozważań nie wydaje mi się do przyjęcia twierdzenie Łempickiego, że Zamoyski Caesara „uwielbiał i za zwierciadło prawie własnego żywota obrał“[38]). Dziwi się sam Łempicki, że w programie lektury Akademji Zamoyskiej Caesara nie spotykamy. Nie słyszymy też, by Zamoyski starał się o jakąkolwiek popularyzację tego swego ‘wzoru’, choć wiemy, o jego patronowaniu przekładowi Liviusa przez Andrzeja Kochanowskiego[39]), o zainteresowaniu się Sallustiusem[40]) itd. Pierwsze polskie dzieło, świadczące o bliższem zajęciu się Caesarem, wyszło w r. 1609. Jest to przekład Wargockiego pt.

[34]) Działalność J. Zamoyskiego, s. 64, uw. 2.

[35]) Archiwum J. Zamoyskiego, wyd. J. Siemieński, Warszawa 1909, II. s. 30.

[36]) Jo. Michaelis Bruti Selectarum epistolarum l. V, Cracoviae 1584, s. 6.

[37]) M. Dresseri Epistula ad .... Thomam Zamoscium, Lipsiae 1607 (Collectanea s. 297—306), s. 300.

[38]) Działalność J. Z. s. 212.

[39]) List A. K. do hetmana, Barycza 1591 (Maciejowski, Piśmiennictwo polskie, Warszawa 1851, t. I. Dodatek s. 212 n.

[40]) List Jerzego Zamoyskiego, p. Łempicki, Śladami Pam. Cez. s. 12.

O woynie Francuskiey xiąg 7. Nie żył już wtedy ani Batory ani Zamoyski. Rzeczpospolita prowadziła wojnę z Moskwą, w której zabłysnął talent strategiczny hetmana Żółkiewskiego.

Narazie chodzić nam będzie tylko o jego dorobek literacki, tzn. o rozprawkę *Pobudka do cnoty* oraz o *Początek i progres wojny moskiewskiej*[41]). Prostota stylu i pisanie o sobie w trzeciej osobie („pan hetman") wystarczyły do uznania wpływu Caesara też i u Żółkiewskiego. „Niektórzy badacze — pisze W. Sobieski[42]) — dopatrują się też podobieństwa między niektóremi ustępami *De bello Gallico* a pamiętnikiem Żółkiewskiego (np. opis trwogi w wojsku przed bitwą pod Kłuszynem i przestrachem Rzymian B. G. I 39)". — O ile wiem, notatka ta opiera się jedynie na Bielowskim, jest tylko uogólniona i rozszerzona[43]). Jednak wymienione miejsca (w *Progresie* s. 60 w. 10 nn. Bibl. Nar., s. 50 Biel.) zupełnie nie nadają się do zestawienia. — Co do faktu napisania w obozie *Pobudki do cnoty,* jako dowodu zajmowania się literaturą w polu, powtórzyć można to, co się wyżej w tej sprawie powiedziało.

Zapatrzenie się na Caesara miało być według badaczy głębsze jeszcze u Żółkiewskiego bo dotyczyć jego zasad strategicznych. Zanim jednak przystąpimy do szczegółowego wypadku, rozpatrzymy w zasadniczych rysach, co wpływ Caesara na taktykę polską mogło utrudniać.

Różnica między armją rzymską a polską, zasadnicza pod względem taktycznym, polegała przedewszystkiem na tem, że Caesar posiadał znaczne ilości piechoty, podczas gdy Polacy w tym czasie stale operują małą jej liczbą, w bitwie używają prawie wyłącznie kawalerji, a rozstrzygnięcie sprowadza zawsze i wszędzie jej gwałtowny atak na linji czołowej, bardzo rzadko z flanki — Kirchholm). U Caesara konnica jest używana rozmaicie, często dla działań wstępnych. Dopiero od

---

[41]) Obie rzeczy w „Pismach St. Żółkiewskiego", wyd. A. Bielawski, Lwów 1861. „Progres" poza tem z wstępem i komentarzem W. Sobieskiego w Bibl. Nar. Serja I, Nr. 12, Kraków 1920.

[42]) Wstęp do wyd. „Progresu", s. 17. W nawiasy ujęta jest uwaga pod tekstem.

[43]) Na s. XXXXVII. U Bielowskiego jest mowa tylko o „pewnem powinowactwie myśli".

bitwy z odsieczą dążącą na pomoc oblężonej Alesii (B. G. VII 79 nn.), zaczyna odgrywać większą rolę. Pod Alesią ona decyduje. Konnica atakuje w zwartych kolumnach i rozstrzyga bój przez otoczenie.

Zwróćmy też uwagę na ogromną niejednolitość wojska polskiego, gdzie każdy rodzaj broni i każda narodowość posiadała odmienną taktykę. Uczynić ją jednolitą nie było sposobu.

Stąd zasady taktyczne i strategiczne Caesara zgrubsza tylko i w bardzo ograniczonym zakresie mogłyby znaleźć zastosowanie. Zgóry, wobec zmienionych warunków, nie mogły być uwzględnione jego zasady poliorketyczne — nawet w ogólnej idei wysoko postawionej techniki oblężniczej. Pod Pskowem brak prochu. Obóz zatoczony jest nieumiejętnie. Założeniem jego nie kieruje ani król, ani Zamoyski [44]).

Wzorowy plan kampanij Caesara jest tylko w samej idei planowości podobny [45]) do podziwianej systematyczności trzech wypraw Batorego na Moskwę, ale materjału porównawczego brak tu zupełnie.

Podobnie ma się rzecz ze sławioną szybkością działań u Caesara, której przykładów pełno mamy zarówno w wojnie gallickiej, jak i domowej [46]). Zwolennikiem takiego szybkiego działania jest Żółkiewski (z hetmanów nieomówionych też Chodkiewicz). On skłania do takiej akcji Zamoyskiego pod Byczyną i Telatynem [47]), a piastując sam naczelne dowództwo, ukazuje to w błyskawicznym pochodzie moskiewskim. Ale wpływu Caesara nikt się w tem chyba dopatrywać nie będzie.

Natomiast jego bitwę pod Kłuszynem wiążą ostatnio [48]) z bitwą pod Pharsalos, a to na skutek występującego tam pojęcia odwodu ogólnego, które ma być zaczerpnięte z kampanij Caesara. Istotnie, Caesar jest jedynym wodzem rzym-

---

[44]) Piotrowski, s. 62 nn.

[45]) Zwłaszcza w wytyczeniu baz i kierunku ofenzywy. U Caesara por. np. wyprawę do Brytanji (B. G. IV 20—36, szczeg. IV 22, 5 n. i V 1—23, szczeg. V 8, 1), kampanję 57 r. przeciw Belgom (B. G. II 1—33).

[46]) Np. ruchy przeciw powstańcom gallickim w r. 58 (B. G. I), wypadki po przejściu przez Rubicon.

[47]) Por. Sobieski, Żółkiewski na Kremlu, Warszawa 1920, s. 98.

[48]) M. Kukiel, Zarys historji wojskowości w Polsce, [3]Kraków 1929, s. 72.

skim, który odwód stosuje, ale nie jedynym wogóle, nawet w starożytności (Alexander W., Hannibal). Ogólne ustawienie wojska do boju przez Żółkiewskiego, mianowicie szyk trójszeregowy (przyczem z trzeciej linji jest utworzony odwód), też niezupełnie odpowiada caesarowym czterem rzutom pod Pharsalos; jest to tzw. szyk staropolski, stosowany np. przez Zamoyskiego w Mołdawji [49]). Odwód zaś był używany zawsze przez Turków i Tatarów [50]). Wódz, który tyle z nimi miał do czynienia, co Żółkiewski, mógł znać go raczej ze swej praktyki wojskowej. Przecież i Tarnawski i Łaski i Zamoyski radzą zapoznać się dobrze z taktyką tych ludów i podają pewne wskazówki (odwód ma też Chodkiewicz pod Chocimem; jego przeciwnicy także).

Odwód w bitwie pod Kłuszynem mógł też zresztą powstać jako przeciwwaga oparcia, jakie miał nieprzyjaciel w swych obwarowanych (przez naturę i sztucznie) obozach, gdzie przezorny wódz mógł domyślać się znaczniejszych rezerw (lub dowiedzieć się, że są, bo tak było w rzeczy samej, jak podaje Maskiewicz w Pamiętniku [51]). Że istotnie raczej tak należy ten odwód pojmować, świadczy fakt, iż nie słyszymy (mimo zachowania się sporej liczby relacyj o tej bitwie, a z nich dwie pióra samego Żółkiewskiego) o jakiemkolwiek jego użyciu w bitwie, odmiennie od odwodu Caesara. Gdy wojsko polskie pod Kłuszynem znalazło się w niebezpieczeństwie, ratuje je nie odwód, jakby można było przypuszczać, lecz nadchodząca właśnie z działami piechota. — Nic też dziwnego, że np. Gustaw Adolf, ufny w swą artylerję, nie używał odwodu prawie zupełnie.

Jeśli nawet świadectwa o tej bitwie wyjaśniałyby należycie sytuację, to pewne właściwości terenu (płoty) nie pozwalają stwierdzić, czy było zamiarem Żółkiewskiego (jak Caesara) rozstrzygnąć bój jednem skrzydłem (lewem), wiążąc tylko resztą sił przeciwnika, czy było to wynikiem przypadku (że lewe skrzydło było silniejsze, to o niczem nie świadczy,

---

[49]) Opis tej wyprawy: K. Górski, Wojna z wojewodą wołoskim Michałem (Ateneum 1892, IV, s. 251—270).

[50]) Por. np. Michniewicz, Istorija wojennago iskusstwa, S. Petersburg 1895, s. 147.

[51]) Pamiętniki S. M. początek swój biorą od r. 1594 w lata po sobie idące, Wilno 1838.

gdyż stało przeciw groźniejszej grupie wojska nieprzyjacielskiego. Poza tem Łaski np. wogóle radzi wzmacniać lewe skrzydło, powołując się na swe doświadczenie, że tam trudniej jest walczyć).

Co do odwodu, to dodać należy, że stosował go np. zupełnie świadomie wódz św. Ligi Novarro w bitwie pod Rawenną (1512), też Maurycy Nassau pod Newport (1600). Podaję te dwa przykłady nie dlatego, że były wzorem dla Żółkiewskiego, ale dlatego, że przez samą możliwość stania się jego wzorem nietylko przedstawiają jednakową wartość z hypotezą o wpływie Caesara, lecz nawet — wobec swej bliskości i aktualności — usuwają ją na plan dalszy.

Wpływ Caesara w rozpatrywanym okresie dowieść się nie daje przy pomocy dostępnych obecnie źródeł w żadnym z punktów, dotychczas przez innych przytoczonych.

GIOVANNI PASCOLI, ALEXANDROS

1.

„Przyszliśmy. Kres to. Grzmij, Heroldzie święty!
Niema już ziemi, krom tej wędrownicy,
w środku puklerzy waszych odbłyśniętej,

o Peithetairzy, kromie bladolicej
ziemi w przestworach. Z tej ostatniej dali
brzegu widzicie, Karji najemnicy,

ostatnią rzekę: Ocean, bez fali.
Zbiegli z Haimu, z Karmelu podnóża,
znika wam ziemia i pośród opali

nocy niebieskiej w bezdnie się zanurza.

2.

Rzeki, com minął! O wy, które lasy
bezruche w łonie jasnych wód nosicie,
nosicie głuchy szmer, wieczny jak czasy,

Góry, com przeszedł! Gdy stanę na szczycie,
nie tak się wielkie zdaje świata pole,
jak nieznającym myślom je taicie.

Modre jak morze, jak nieba zakole,
o góry! Rzeki! Lepiej w porze onej
było śnić, nie rwać się za własną dolę,

bo sen to Prawdy jest cień nieskończony.

3.

Szczęśniejszy byłem, gdy do przemierzenia
więcej dróg stało: próby, walki, zdrada,

i wątpień więcej, więcej przeznaczenia.
Czy w Issos, kiedy noc na wietrze blada
w rojnym obozie brała w łun kolory
ciemne koleśnie, nieskończone stada,
Czy w Pelli, gdyśmy przez długie wieczory
gonili, pomnisz, — o, Buhaja Głowo [1]),
słońce, to słońce, co za czarne bory
szło coraz dalsze, lśniąc, by skarb, tęczowo.

4.

O Amyntasa synu! Nieznajomy
był mi, gdym ruszał, koniec. U ołtarza
wznosił flecista Timotheos nomy:
dech to potęgi, co iść się poważa
za śmierć i serce po dziś dzień go chowa,
jak muszla, którą szmer morza powtarza.
Duchu mocarny, pieśni ty echowa,
co bijesz w niebo, rwąc mię ku wyżynie!
Lecz tu Ocean, Kres, Nicość wiekowa...
a pieśń przepływa i za nami ginie“.

5.

Tak płacze, z piersią dobiegłszy dyszącą;
w źrenicy, czarnej by śmierć, łza się mota,
modrą jak niebo źrenicę łzy mącą [2]).
Bo zawsze (taki los jego żywota)
z czarnego oka nadzieja ucieka,
w oku błękitnem wzbiera mu tęsknota.
I słyszy bestyj poryki zdaleka,
o skroń mu biją z równi nieobjętej
siły wieczyste, obce dla człowieka,
jakgdyby słoni pędzących tętenty.

6.

Tymczasem w stromym, górzystym Epeirze
dla Dalekiego, pośród dworek grona,
dziewicze siostry trudzą palce chyże.
Milecką wełnę przędą; mkną wrzeciona.
Noc późna — cisza skrzydłem niebo trąca,
mijają gwiazdy i wiatr w dalach kona.
A Olympiada, w marzeniu błądząca,
słucha, jak długo strumień z nocą gwarzy,
słucha, jak w mroku, co się pnie bez końca,
olbrzymie dęby szepcą na gór straży.

[1]) Bukephalos. — [2]) Według podania Alexander Wielki miał mieć jedno oko czarne, drugie niebieskie.

JAN HOROWSKI

O UŻYWANIU RÓŻ I FIOŁKÓW W KULCIE UMARŁYCH PRZEZ STAROŻYTNYCH GREKÓW I RZYMIAN

Są tematy, które dziwny wywierają urok na nas i poprostu żyją z nami. Do tych należą obrzędy, związane z kultem umarłych. Z chwilą, gdy człowiek schodzi ze zespołu żyjących, zaczynają go owinąć prawa nowego świata umarłych. Osobliwe jest to prawo zmarłych i pełne niedomówień. Bo odnosi się nie do człowieka, lecz do fikcji człowieka, do symbolu człowieka: a właściwym, stylowym korelatem jest właśnie tylko symbol. Symbolika ta nie jest jednak sztucznym ornamentem w kulcie zmarłych, lecz powstała organicznie z tym kultem: niema symbolu, któryby nie był przedtem konkretną rzeczywistością. Rzeczywistość sama nie potrzebuje interpretacji — jej rationale jest oczywiste, konieczności życiowe, zwyczaje i porządki społeczne nie mniej kategoryczne są dostatecznem jej usprawiedliwieniem. Inaczej sprawa się ma w świecie pozarealnym, gdzie wszystko urasta do symbolu. Nie jakoby człowiek w swym stosunku do niego się zmienił, tracił swą trzeźwość, swą logiczność, zrezygnował z tej ratio sufficiens, którą się kieruje w życiu potocznem; ale zespół czynników zachowanych, zagnieżdżających się w świecie sakralnym niekontrolowanym i nietamowanym, tworzy jednak z biegiem czasów zwarty i zamknięty kompleks, żyjący własnem prawem, i łatwo, zwłaszcza uczeni, zapominają, iż ten 'świat zmarłych' jest komplementem, uzupełnieniem, naszego świata, do którego chronią się elementy irracjonalne, eliminowane z naszego życia. — Rozprawa p. Horowskiego chce rozwiązać zagadkę używania róż i fiołków w kulcie umarłych starożytności; klucz do niej znajduje w symbolice kolorów: czerwona jest róża i czerwona jest krew — więc zastępczo róża wsunęła się jako namiastka ofiary krwawej, przeznaczonej dla zmarłego. Jest to więc dalszy przyczynek do tak popularnego w folklorze motywu 'rot und Tod', posiadającego już bogatą literaturę. Rozwiązanie to jest ciekawe, a jednak — przyznam się — wywody autora nie przekonały mnie, chociaż nie jest jedyny, który podobne żywi myśli. Ersilia Caetani Lovatelli np., która w swoich Römische Essays (Leipzig 1891, s. 87—118) dała ciekawą rozprawę o róży, pisze s. 110: „Was nun die Rose im besondern betrifft, so hatte sie auch eine Beziehung auf Tod und Begräbnis, vielleicht wegen ihres sagenhaften Ursprungs; Rosen nebst Esswaren *(escae)* pflegte man im Mai auf die Gräber zu tragen, wie das viele antike Grabsteine bezeugen (Orelli 707, 4071, 4417—4419. Orelli-Henzen 7320, man sehe Marini, Atti e Mon. dei frati Arvali p. 562, 581). Auf einigen von diesen steht die Bitte, man möge beständig Rosen und Veilchen über die Gebeine ausstreuen, auf andern, man möge diesen feierlichen Gebrauch an bestimmten Tagen des Jahres wiederholen, endlich wird auf einigen den vorerwähnten Bitten noch die Mahnung an testamentarische Verfügungen über gewisse Einkünfte hinzugefügt, welche zum Ankauf von Rosen und zur Bestreitung der Kosten der Leichenfeste bestimmt waren (vgl. Properz I 17, Tibull II 4). — Auch die lateinischen Dichter sprechen oft von der Sitte, den Verstorbenen Kränze und Blumen zu brin-

gen, und weil es gewissermassen zu unserm Gegenstande gehört, möchte ich hier den letzten Vers einer schönen und rührenden Grabinschrift anführen, die einer gewissen Flavia Nicopolis gewidmet ist; dieser Vers weist auf die verschiedenen auf ihrem Grabe erblühten Blumen hin und sagt, wie der Körper dieser Flavia sich in eine holde Blume verwandelt habe: Hoc flos est corpus Flaviae Nicopolis (CIL VI 18385, cf. Burmann Anth. IV 99: Quod si lacrimulis tuis madescet — Forsan flos novus ibit e sepulcro)" itd. — Spróbujmy jednak określić, co w tej symbolice jest igraszką poetycką a co tradycyjnem wierzeniem, rzeczywistym kultem — o to przecież chodzi, bo kwiatki poetów to jeszcze nie dogmaty. Wówczas sprowadza się rzecz do kilku punktów, luźnie ze sobą powiązanych, mianowicie:

1. róża ozdabiająca samego umarłego,
2. róża ozdabiająca grób zmarłego,
3. róża przy uczcie zmarłych,
4. róża w świętach (Rosalia, Pascha Rosata itd.).

Autor rozprawy wszystkie te cztery grupy faktów wytłumaczy w sposób jednolity — to jest zaletą jego poglądu. Ale wchodząc w szczegóły spostrzegamy, że fakty te niekoniecznie łączą się ze sobą, że genetycznie są różne: 1. grupa łączy się z potocznym zwyczajem greckim wieńczenia się do uroczystych aktów — zwyczaj wyrósł z chęci podobania się widzom, ze zmysłu estetycznego; 2. zmysł ten estetyczny objawia się także w grupie drugiej i trzeciej; przytem grupa 3. jest prostem stosowaniem greckich zwyczajów biesiadnych. Natomiast grupa 4. wyprowadza się z pradawnych świąt 'kwietnych', jak Anthesteria w Athenach, Floralia w Rzymie, πρωτομαγία (pierwszomajówka) w Grecji itd., które w swem założeniu nic nie mają wspólnego z kultem zmarłych. — Tak więc nie kwiaty, lecz chyba tylko dobór kolorów mógłby przemawiać za ściślejszym związkiem kwiatów z umarłymi: 'czerwoność' ma być symbolem ofiary krwawej, sam kwiat czerwony ofiarą zastępczą. O ile mi wiadomo, umarłym nie składano ofiar krwawych; wielkim wyjątkiem jest bdiocka αἱμακουρία dla zmarłych, która była prototypem dla Nekyi Odyssei, gdyż krwi u Greków nie spożywano; umarłym składano sacra rustica, jak wino, miód, mleko itd. W obrzędach więc 'czerwoność' nie ma oparcia. Skądże może się wyprowadzić? Moda i obyczaj znaczą dużo: purpura dygnitarzy (triumfatorów, królów, latus clavus senatorów itd.) wraz z lubowaniem się południowców w jaskrawości farb są prostszym i prawdopodobniejszem wyjaśnieniem niż głęboka, ale zbyt odległa symbolika ofiarna. Zwłaszcza że nic nie przemawia za wyłącznością czerwonych kwiatów w kulcie zmarłych... R. G.

Prawie we wszystkich religjach świata starożytnego najważniejszą ich część stanowią wierzenia o życiu pośmiertnem. Wszędzie widać wielką troskę o życie pozagrobowe, zwłaszcza, że najczęściej wyobrażano je sobie podobne do życia na ziemi. Wielkim kultem otaczano ziemię samą, jako matkę, z której wszystko powstaje i do której wszystko wraca. Szczególną czcią otaczano miejsce, gdzie składano śmiertelne szcząt-

ki zmarłego, czyli jego grób. Tu budowano pomniki, składano ofiary i urządzano uczty. Wszystko to miało umarłemu pomagać. Znany też był zwyczaj zdobienia grobów kwiatami, zwyczaj, który zachował się do naszych czasów. Wśród kwiatów, składanych przez starożytnych Greków i Rzymian na grobach, szczególne miejsce zajmowały róże i fiołki. Że one nie są zwykłą tylko dekoracją, jak to się dzisiaj dzieje, lecz że mają one jakieś głębsze uzasadnienie — to wykazać jest zadaniem niniejszej pracy.

I. Napisy o roli róż i fiołków w kulcie zmarłych.

Najwięcej materjału na to, jaką rolę spełniały róże i fiołki w kulcie umarłych u starożytnych Greków i Rzymian, dostarczają nam napisy na grobach starożytnych. Niestety największy zbiór napisów, jakim jest *Corpus Inscriptionum Latinarum* (skrót: CIL) był dla mnie niedostępny. Musiałem więc korzystać z mniejszych zbiorków oraz z napisów grobowych, przytoczonych w różnych pracach na podobne tematy.

I tak w starym zbiorze Grutera (*Inscriptiones antiquae totius Romani orbis in corpus absolutissimum redactae* 1613) mamy kilka napisów, które zupełnie wyraźnie mówią o używaniu róż i fiołków przy grobach zmarłych. Jeśli np. ktoś umierał, to często w testamencie obdarowywał pozostałych przy życiu krewnych ogrodem, z którego dochodu miano na grobie jego sypać róże: „...Hortos cum aedificio... vivos donavit, ut ex redditu eorum largius rosae et escae sibi ponerentur" (p. 1021, 4). Zamiast ogrodu wyznaczano niekiedy pieniądze: „H-S. C|Ɔ N. liberalitate donavit sub hac conditione, ut quotannis Rosas ad monumentum deferant" (p. 238, 5). Podobnie inny napis: „...ut superstes rosis s. [=sepulcrum] iacentis quotannis Kal. Iun. exornet" (p. 435, 2). Wszystkie te napisy wspominają obok róż także o urządzaniu uczty na grobie zmarłego (p. 460, 3). Zwyczaj ten musiał być bardzo powszechny, skoro niektóre napisy są prawie identyczne. Urobiła się widocznie jakaś ogólna formuła na ten temat. Istniały też specjalne towarzystwa, tzw. collegia, które zajmowały się zdobieniem grobów różami w pewne oznaczone dni: „...huic Colleg. Dendroph. Leg. H-S C N. cuius summae reditu quodannis die natal. eiusdem III Id. April... rosam praebeant" (p. 753, 4). Jeden napis specjalnie zaznacza, że ogrodów tych nie wolno ani dzielić, ani sprzedawać: „...Hos neque dividi neque alienari volo" (p. 636, 12).

Te kilka napisów, a jest ich znacznie więcej, wyraźnie już wskazują na to, że istniał w starożytności zwyczaj zdobienia grobów różami. Jednak nietylko grób zmarłego zdobiono różami, lecz także sarkofag jego lub posąg. Ponieważ zaś przy grobach urządzano przy tej okazji równocześnie ucztę, więc mówiono: „colenda sepultura rosis et escis“ lub „escae rosales“ (Pauly-Wissowa RE s. Rosalia s. 1113).

II. Autorzy starożytni o roli róż i fiołków w kulcie umarłych.

Nie mniej wyraźne świadectwa spotykamy także u pisarzy starożytnych, tak greckich, jak i rzymskich. Tutaj należą przedewszystkiem wzmianki, znajdujące się w Anthologji łacińskiej, a ujęte często w formę napisów grobowych. Napisy te zwracają się jakby do przechodnia (Anth. L. nr. 1244 R.):

rosis, veris honore, novis
et saepe inferio vino celebrate sepulcrum“

Obok róż wymieniają pisarze też często fiołki i różne wonności (Anth. L. nr. 29, 6 nn. = CIL VI 9797):

...ovantes convenite pilicrepi
statuamque amici floribus, violis rosis
folioque multo adque [1]) unguento narcido
onerate amantes...

Fiołki są niekiedy nazwane po grecku (ἴα) a obok nich występują także lilje.

Umarły niekiedy wydaje się jakby prosić przechodnia, aby mu na grobie złożył kwiat, a szczególnie różę (Anth. L. nr. 492, 20 nn. = CIL III 754):

hanc tituli sedem velles decorare quodannis
et foveas aevi monumentum tempore grato,
roscida si rosula seu grato flore amaranthi.

Rzecz wygląda tak, jakby róża, czy fiołek, lub inny jakiś kwiat był tak potrzebny zmarłemu, jak w chrześcijańskiem pojęciu zmarłemu jest potrzebna modlitwa człowieka żyjącego. Z drugiej zaś strony życzeniem człowieka żyjącego dla zmarłego jest, aby kości lub grób jego otaczały róże (Anth. L. nr. 1064, 4):

---

[1]) Zachowuję pisownię oryginału. Na napisach zaś błędy ortograficzne nie należą do rzadkości.

et cingant suaves ossa sepulta rosae

albo (Anth. L. nr. 1184, 12 nn.):

o mihi si superi vellent praestare roganti
ut tuo de tumulo flos ego cerna(m) novum
crescere vel viridi ramo vel flore amaranti
vel roseo vel purpureo violaeque nitore...

Zupełnie wyraźnie mówi o sypaniu róż na popioły zmarłego Ausonius (*Epitaphia heroum* XXXVI):

Sparge mero cineres, bene olentis et unguine nardi,
Hospes, et adde rosis balsama puniceis...

O wiązkach fiołków dla zmarłych wspomina także Ovidius (*Fasti* II 533 sqq.), wymieniając je obok innych ofiar grobowych. Szczegół ten, jak później zobaczymy, jest dla nas bardzo ważny.

Zamiast o różach mówi się niekiedy o czerwonych kwiatach wogóle (Verg. *Aen.* VI 883 nn.):

...Manibus date lilia plenis,
purpureos spargam flores animamque nepotis
His saltem accumulem donis et fungar inani
munere.

Albo (Verg. *Aen.* V 79):

purpureos iacit flores ac talia fatur...

Niektórzy wydawcy objaśniają te *purpureos flores* jako róże (np. Brosin objaśnia to miejsce: „es sind wohl Rosen gemeint"). Ale choćby nawet te czerwone kwiaty nie oznaczały róż, to mimo to sam fakt, że podkreśla się tu czerwone kwiaty, ma dla nas, jak później zobaczymy, zasadnicze znaczenie.

Ale nietylko na grobach samych kładziono róże. Jeżeli ciało nieboszczyka spalano i prochy kładziono do urny, to kładziono najpierw na dno urny róże a na nie dopiero popioły (Propert. I 17, 21 n.):

illa meo caros donasset funere crines,
molliter et tenera poneret ossa rosa.

W tym sensie rozumie też miejsce to wydawca Propertiusa Rothstein, mówiąc: „Die Überreste des Toten wurden in der Urne auf einer Unterlage von Rosen gebettet". Jeśli tak, to też zrozumiemy następujące powiędzenie Iuvenalisa (Sat. VII 207 nn.):

di, maiorum umbris tenuem et sine pondere terram

spirantisque crocos et in urna perpetuum ver,
esse loco...

Widocznie u starożytnych symbolem szczęścia lub wogóle życzeniem dla zmarłego było to, aby tam na drugim świecie same kwiaty opromieniały mu życie, tak jak dzisiaj w chrześcijańskiem znaczeniu „światłość wiekuista“.

Lecz nietylko łacińscy pisarze wspominają o różach i fiołkach w związku z kultem umarłych, Mamy także wzmianki u greckich pisarzy (Alkiphron *Epist.* IV 9, 5): ἐγὼ δὲ ἡ τάλαινα θρηνῳδὸν οὐκ ἐραστὴν ἔχω· στεφάναιά μοι καὶ ῥόδα ὥσπερ ἀώρῳ τάφῳ πέμπει καὶ κλάειν δι᾽ ὅλης φησὶ τῆς νυκτός.

U pisarzy greckich spotykamy podobnie, jak u łacińskich życzenie, aby na grobie znajdowało się jaknajwięcej kwiatów, a wśród nich fiołki i róże przedewszystkiem (Anth. Pal. App. t. III, II 238 z Nîmes):

Ἄνθεα πολλὰ γένοιτο νεοδμήτῳ ἐπὶ τύμβῳ,
μὴ βάτος αὐχμηρή, μὴ κακὸν αἰγίπυρον,
ἀλλ᾽ ἴα, καὶ σάμψυχα, καὶ ὑδατίνη νάρκισσος,
Οὐείβιε, καὶ περὶ σοῦ πάντα γένοιτο ῥόδα.

Gdzieniegdzie spotykamy takie życzenie (Anth. Pal. App. t. III, II 236, 1 n. z Cagliari):

Εἰς ἴα σου, Πώμπτιλλα, καὶ εἰς κρίνα βλαστήσειεν
ὀστέα, καὶ θαλλοὺς ἐν πεταλοῖσι ῥόδων.

Róża miała widocznie u starożytnych specjalną własność sprawiania ulgi, czy pomagania, skoro jeden Anakreotyk (53) mówi:

τόδε καὶ νοσοῦσι ἀρκεῖ,
τόδε καὶ νεκροῖς ἀμύνει.

Jak z jednej strony życzono zmarłym, aby na grobie ich wyrosły róże lub fiołki, tak z drugiej strony wierzono, że na grobach ludzi zasłużonych wyrosną same fiołki (Pers. *Sat.* I 36 nn.):

adsensere viri, nunc non cinis ille poetae
felix? non levior cippus nunc imprimit ossa?
laudant convivae: nunc non e manibus illis,
nunc non e tumulo fortunataque favilla
nascentur violae?

Wydawca Isaak Casaubonus objaśnia to miejsce w ten sposób: „Veteres Graeci ac Latini, quorum felicitatem plus quam

humanam volebant videri, dicebant de vivis, ex eorum vestigiis flores nasci, vel terram sponte sua in illorum honorem flores producere; de mortuis, ex ipsorum tumulis suaveolentes quosque flores erumpere: quae sententiae ex veteri more sunt ortae aspergendi floribus honoris caussa et favoris", i dalej mówi ten sam Casaubonus: „Vereor ne huiusmodi poëtica figmenta occasionem iis praebuerint, qui sanctorum atque omni veneratione dignorum hominum vitas conscripserunt, talia multa fingendi et pro rebus gestis narrandi: saepe enim legas ex eorum tumulis vel manna exisse vel lilia aut violas erupisse". Osobiście nie znam wypadków takich, aby na grobie jakiego świętego wyrosły kwiaty. Natomiast znaną jest ogólnie legenda, powstała w pierwszych wiekach po Chr., że, kiedy apostołowie przyszli do grobu, w którym złożono ciało Matki Boskiej, zamiast ciała znaleźli lilje, czy róże według innych.

Zwyczaj zdobienia grobów kwiatami a szczególnie różami i fiołkami przeszedł od pogan także do chrześcijan, zwłaszcza przy kulcie świętych męczenników (por. E. Lucius, *Die Anfänge des Heiligenkults in der christlichen Kirche,* s. 285, 291, 311 itd.). Coprawda początkowo chrześcijanie dla prostej reakcji wystrzegali się wszystkiego, coby ich mogło zbliżać do pogaństwa. Dlatego też chrześcijanin mówi do poganina: „Nec mortuos coronamus..." (Minucius Felix *Octavius* XXXVIII 3). Podobnie poganie zarzucali chrześcijanom: „Non floribus caput nectitis, non corpus odoribus honestatis; reservatis unguenta funeribus, coronas etiam sepulcris denegatis" (ibd. XII 6). U późniejszych jednak chrześcijan zwyczaj ten był znany, jak tego dowodzi Lucius. Znali chrześcijanie nietylko zwyczaj zdobienia grobów kwiatami wogóle, lecz specjalnie różami i fiołkami: „Ceteri mariti super tumulos coniugum spargunt violas, rosas, lilia floresque purpureos et dolorem pectoris his officiis consolantur" (Hieronymus, Epist. LXVI, 5, 3 ad Pammachium). O fiołkach w związku z kultem umarłych wspomina także inny pisarz chrześcijański, Prudentius (Cathem. X 169 nn.):

Nos tecta fovebimus ossa
violis et fronde frequente,
titulumque et frigida saxa
liquido spargemus odore.

Podobnie na innem miejscu (Prudent. Peristeph. III In hon. Eulal. m. 201 nn.):

Carpite purpureas violas
sanguineosque crocos metite:
non caret his genialis hiems
laxat et arva tepens glacies,
floribus ut cumulet calathos.

Myli się więc trochę Nilsson, twierdząc, że w chrześcijańskiej literaturze łacińskiej nie mamy dowodów na istnienie zwyczajów tych u chrześcijan (RE, s. Rosalia s. 1114). Św. Hildefonsus wyraźnie mówi o związku róży z krwią męczenników: „Est quoque candidum lilium flos Virginum, Rosae purpurantis sanguinis Martyrum" (Du Cange, Gloss. Rosae significantia).

III. Ofiary krwawe i ich zastępstwa.

Jak wyżej widzieliśmy i jak już na to zwróciliśmy uwagę, występują róże i fiołki prawie zawsze obok innych ofiar składanych na grobach zmarłych. Można z tego wyciągnąć wniosek, że róże i fiołki są ofiarą, składaną zmarłym. Wprawdzie składano na grobach różne kwiaty, nietylko róże i fiołki, lecz te właśnie dwa kwiaty z pośród innych szczególne zajmują miejsce w kulcie zmarłych. Zwrócił już na to uwagę Kirchmann *(De funeribus Romanorum* l. IV, s. 563) pisząc: „Sed inter omnes flores, quibus veteres sepulcra sua accumulabant, principatum quendam obtinuisse videntur Rosae, quarum etiam Graeci mentionem faciunt". Innym dowodem na to jest także fakt istnienia specjalnego święta zmarłych, zwanego właśnie od róży *Rosalia,* o czem będzie mowa niżej.

Składanie ofiar zmarłym było u starożytnych zwyczajem bardzo powszechnym i myślę, że o tem nie potrzeba szeroko pisać, ani tego dowodzić. Ofiary były różne. W najdawniejszych czasach składano zmarłym ofiary krwawe lub samą krew (por. E. Samter, *Geburt, Hochzeit und Tod,* s. 177 nn.), którą dusze zmarłych chętnie piły. Z czasem jednak ofiary krwawe zastępowano innemi ofiarami — niekrwawemi, a raczej przypominającemi krew. Róże i fiołki trzeba także uznać jako zastępstwo takich ofiar krwawych. Dlaczego właśnie róże i fiołki nadawały się jako zastępstwo ofiar krwawych, wykażemy w następnych rozdziałach.

IV. Dlaczego róże?

Zastępstwem ofiary krwawej mogło być przedewszystkiem coś takiego, co krew przypominało. Tem właśnie jest róża, jako kwiat czerwony, a więc przypominający swym kolorem krew. O tem, że już starożytni tak myśleli, świadczy komentator Vergiliusa, Servius (in Aen. VI 884), kiedy mówi, że 'czerwone kwiaty' kładziono na grobie „propter sanguinis similitudinem", albo „ad imitationem sanguinis" (ibd. VI 221). O związku róży z krwią świadczą także opowiadania poetów starożytnych, według których róża pochodzi z krwi Amora (Ausonius, *Edyll.* VI 75 nn.), lub z krwi Venery (Riese-Buecheler, *Anthologia Latina,* II s. 325). Jak już wyżej zaznaczyliśmy u chrześcijan przypominała róża krew męczenników. Według Biona (Epit. Adon. 65) róża powstała z krwi Adonisa:

αἷμα ῥόδον τίκτει.

Kiedy autor Epitaphios Biona wzywa całą naturę, aby się smuciła nad śmiercią Biona, mówi o różach (Ps.-Moschos n. 5):

νῦ ῥόδα φοινίσσεσθε τὰ πένθιμα

Sen o róży u starożytnych oznaczał śmierć (Artemid. Onirocr. I 5, 25): καὶ τὸ παρὰ νεκροῦ λαμβάνειν μύρον ἢ ῥόδον ἢ τῶν ὁμοίων τι εἰς τὴν αὐτὴν ἀνακτέον μοῖραν.

Jak widzimy, już starożytni zdawali sobie z tego sprawę, że róża jako kwiat czerwony przypominała swym kolorem krew, co ją zbliżało do krwawych ofiar grobowych, oraz przypominała śmierć, bo w krwi według starożytnych znajdowało się życie: „Purpureas ad imitationem sanguinis, in quo anima" (Servius, *in Aen.* VI 221). Róża sprawiała więc przyjemność duszom zmarłych: „Manibus est imis Rosa grata et grata sepulcris" (Kirchmann, s. 564).

Ale róża jeszcze pod innym względem przypomina nam śmierć. Jest ona kwiatem pięknym, lecz krótkotrwałym i dlatego przypomina nam znikomość życia ludzkiego. Oto, co kwiat ten mówi sam o sobie przez usta poetów (Anth. L. nr. XLV R.):

Purpura sum terrae, pulcro perfusa rubore,
Saeptaque, ne violer, telis defendor acutis.
O felix, longo si possim vivere fato.

Bardzo piękne porównanie na temat krótkotrwałości róży mamy u Ausoniusa (*Edyll.* XIV 43 nn.):

Quam longa una dies, aetas tam longa rosarum —
  Cum pubescenti iuncta senecta brevis.
Quam modo nascentem rutilus conspexit Eous,
  Hanc rediens sero vespere vidit anum.

Pięknych takich przykładów możnaby zacytować bardzo wiele. Spotykamy je także u autorów greckich, gdzie wcześnie zmarłą dziewczynkę często porównuje się do róży (Anth. Pal. App. III, II 268 z Rzymu):

οὐχ ὁσίως ἥρπαξας ὑπὸ χθόνα, κοίρανε Πλουτεῦ,
  πενταέτη νύμφην πᾶσιν ἀγαλλομένην.
οἷα γὰρ ἀρχομένου ῥόδον εὔπνοον εἴαρος ὥρῃ
  ἐξέτεμες ῥίζης, πρὶν χρόνον ἐκτελέσαι.

Albo nagrobek poety Kyrosa (Anth. Pal. VII 557):

Τρεῖς ἐτέων δεκάδες, Μαίης χρόνος. ἐς τρία δ' ἄλλα
  ἔτρεχεν, ἀλλ' Ἀΐδης πικρὸν ἔπεμψε βέλος
θηλυτέρην δ' ἥρπαξε ῥόδων καλύκεσσιν ὁμοίην,
  πάντ' ἀπομαξαμένην ἔργα τὰ Πενελόπης.

Podobnie wyrażają się poeci o fiołku. A wiadomo przecież, że i w naszych czasach spotykamy często na cmentarzach na pomnikach grobowych wiersze, w których zmarłe dziecko porównuje się do róży. Stąd też w Szwajcarji i w południowej Bawarji cmentarze, na których chowano dzieci, noszą nazwę 'ogrodów róż' (*Rosengärten,* por. H. Schukowitz, *Rosengärten* Archiv f. Religionswissenschaft III 1909, 279 nn.). O tem, że składanie kwiatów na grobach miało pomiędzy innemi przypominać znikomość życia, wspomina także Kirchmann (I, cap. XI): „ut hac florum sparsione in memoriam sibi revocarent aevi huius brevitatem et quae spectatissime floreat, celerrime marcescere". Jak z tego wynika, to i ten drugi powód, że róża, a po części i fiołek, jest kwiatem, przypominającym krótkość życia ludzkiego, mogło się przyczynić do tego, że kwiatu tego używali starożytni przy kulcie umarłych.

V. Dlaczego fiołki?

Wyjaśniwszy, dlaczego starożytni przy kulcie umarłych szczególnie używali róż, zbadamy teraz, dlaczego obok róż

używano do tego celu fiołków. — Widzieliśmy wyżej, że według starożytnych róża pochodzi z krwi. I dziwna rzecz: o fiołku mamy takie same podanie. Opowiada nam Arnobius (*Adv. nat.* V 7), że kiedy Attis w szale odciął sobie genitalia, wyrosły z krwi ich fiołki: „fluore de sanguinis viola flos nascitur". To samo dzieje się z krwią jego narzeczonej Ia, która po tym wypadku odebrała sobie życie: „interficitque se ipsam: purpurantes in violas cruor vertitur interemptae". Mamy więc tu z jednej strony zamianę krwi ludzkiej, która według Serviusa jest siedzibą życia, na fiołki, jak i z drugiej strony wierzenie starożytnych, że z dusz ludzkich lub z grobu człowieka zacnego wyrastają fiołki.

Starożytni znali jednak kilka gatunków fiołków: „Violis honos proxumus earumque plura genera, purpureae, luteae, albae"... (Plinius h. n. XXI 6). Czy więc używano przy kulcie umarłych wszystkich tych gatunków, czy też specjalnie jednego tylko? Łacińscy pisarze używają nazwy *viola,* a greccy nazwy ἴον. Często nawet, jak to widzieliśmy wyżej, zamiast *viola* używają pisarze łacińscy greckiego terminu *ia.* Wynika z tego jasno, że chodzi tu o ten gatunek fiołka, który po łacinie nazywa się *viola,* a po grecku ἴον. Jak zaś wygląda ten gatunek fiołków, o tem mówi nam znowu Plinius (XI 38), a więc w tym wypadku fachowiec: „Florum prima ver nuntiantium viola alba, tepidioribus vero locis etiam hieme emicat. Postea quae *ion* appellatur et purpurea, proxume flammeum, quod phlox vocatur, silvestre dumtaxat". Jeszcze wyraźniej na innem miejscu: „Violis honos proxumus earumque plura genera — purpureae, luteae, albae plantis omnes ut olus satae. Ex iis vero quae sponte apricis et macris locis proveniunt purpureae latiore folio statim ab radice carnoso exeunt solaeque nomine a ceteris discernuntur appellatae ia et ab his ianthina vestis". Wynika z tego wyraźnie, że starożytni używali przy kulcie zmarłych fiołków koloru purpurowego. Zresztą łacińscy pisarze sami nieraz tak w ten sposób je nazywają. Ten zaś kolor purpurowy zbliża fiołki kolorem swym do róż. Uywano więc ich z tego samego powodu, co róże.

Obok róż i fiołków wymieniają pisarze starożytni niekiedy także lilje. Najprawdopodobniej i w tym wypadku chodzi także o lilje czerwone, bo i takie znali starożytni: „Est et

rubens lilium, quod Graeci crinon vocant, alii florem eius cynorrodon" (Plinius, h. n. XXI 11). Jeżeli czerwonej lilji odpowiada w języku greckim termin κρίνον, a kwiaty te rzeczywiście wymieniają greccy pisarze, to i w tym wypadku twierdzić możemy, że chodzi tu głównie o czerwone lilje. Zatem w cytowanem już miejscu z Vergiliusa (*Aen.* VI 883 nn.),

> ... Manibus, date, lilia plenis,
> purpureos spargam flores...

wyrażenie *purpureos flores* należy uważać jako appositio do *lilia.*

Poza wyżej wymienionemi kwiatami wspominają starożytni pisarze w związku z kultem umarłych jeszcze szafran, do krwi podobny (*sanguineus*) i amarant. Jak widzimy, mamy tu wszystko kwiaty o kolorze czerwonym. Na dowód, że właśnie kolor czerwony ma pewien związek z kultem umarłych, oprócz wyżej wymienionych świadectw podajemy jeszcze jedno.

VI. Czerwonych szat używano przy kulcie zmarłych.

Już w prawie XII tablic była mowa o purpurowej tunice używanej przy uroczystościach pogrzebowych (Cicero, *De leg.* III 59). Stos, na którym miano spalić ciało zmarłego, przykrywano czerwonem suknem, albo też zwłoki zasłaniano purpurą (Stat. *Silv.* II 1, 159):

> quod tibi purpureo tristis rogus aggere crevit.

W czerwone szaty zawinięto ciało Hektora (Il. XXIV 795 n.):

> καὶ τά γε χρυσείην ἐς λάρνακα θῆκαν ἑλόντες,
> πορφυρέοις πέπλοισι καλύψαντες μαλακοῖσιν.

Podobnie w Aeneidzie (VI 220 n.) o zwłokach Misena:

> ... tum membra toro defleta reponunt
> purpureasque super vestes, velamina nota,
> coniciunt.

Czerwone kwiaty i czerwone szaty przy kulcie umarłych tłumaczy w ten sposób Servius (*in Aen.* III 67): „sed quoniam sumptuosum et crudele victimas vel homines interficere, sanguinei coloris coepta est vestis mortuis inici, ut et ipse testatur (VI 221) purpureasque super vestes velamina nota et (V 79)

purpureosque iacit flores“. A Artemidoros (Onirocr. I 77, 10) mówi wyraźnie: ἔχει γάρ τινα πορφυροῦν χρῶμα συμπάθειαν πρὸς τὸν θάνατον. Przykłady możnaby mnożyć.

O związku koloru czerwonego z krwią i ze śmiercią świadczą takie przysłowia niemieckie, jak: „Bist du rot, denk an den Tod“ itd. (por. A. Sonny, *Rote Farbe im Totenkult*, [ARW, IX 528] oraz F. v. Duhn, *Rot und Tod*, ibd. 1 nn.). Wnętrze trumny, do której kładziono zwłoki zmarłego, malowano na czerwono (ibd.). Przypomina nam to wyścielanie urny różami. W Indjach wierzą np., że komu śniło się, iż miał na głowie czerwony wieniec, ten umrze (ibd. s. 6). W czerwone szaty ubierano tam skazanego na śmierć i z czerwonych kwiatów składał się wieniec żałobny. Stanisław Żółkiewski poleca żonie w testamencie, aby, jeśli polegnie w bitwie, „miasto aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech trumna przykryta będzie szkarłatem na znak wylania krwi dla ojczyzny“ (Wł. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach* s. 128).

VII. Róże i czerwone kwiaty spotykamy na drugim świecie.

Jak widzieliśmy dotychczas są róże i fiołki a potem czerwone kwiaty wogóle warunkiem szczęśliwości człowieka po śmierci — na tamtym świecie. Nic przeto dziwnego, że w opisach świata pozagrobowego mamy dość częste wzmianki o różach i czerwonych kwiatach.

Kiedy Tibullus I 3, 57 nn. mówi o swej śmierci i o tem, jak tam będzie na drugim świecie, powiada:

sed me, quod facilis tenero sum semper Amori,
ipsa Venus campos ducet in Elysios,
hic choreae cantusque vigent, passimque vagantes
dulce sonant tenui gutture carmen aves:
fert casiam non culta seges, totosque per agros
floret adoratis terra benigna rosis.

Kiedy Dionysos wybiera się z niewolnikiem w zaświaty, to chór żab śpiewa w ten sposób (Aristoph. *Ran.* 447 n.):

χωρῶμεν ἐς πολυῤῥόδους
λειμῶνας ἀνθεμώδεις.

Podobnie czytamy w Threnie Pindara (fgm. 130), gdy mówi o szczęśliwych mieszkańcach zaświata:

Τοῖσι λάμπει μὲν μένος ἀελίου τὰν ἐνθάδε νύκτα κάτω.
φοινικορόδοις δ' ἐνὶ λειμώνεσσι, προάοιτιον αὐτῶν
καὶ νιβάνῳ σκιαρὸν καὶ χρυσέοις καρποῖς βεβριθός.

Odgłosy tego mamy także u pisarzy chrześcijańskich, gdzie nawet ciała ludzi na tamtym świecie przybywających porównane są do róż (Apocal. Petri 8 i 15): τὰ μὲν γὰρ σώματα αὐτῶν ἦν λευκότερα χιόνος καὶ ἐρυθρότερα παντὸς ῥόδου, a kilka wierszy dalej czytamy: καὶ ὁ κύριος ἔδειξέ μοι μέγιστον χῶρον... καὶ τὴν γῆν αὐτὴν ἀνθοῦσαν ἀμαράντοις ἄνθεσι. W jednym z wczesnych druków niemieckich znajduje się drzeworyt, przedstawiający powrót duszy dziecka do nieba. Dziecko to kroczy w towarzystwie aniołka po drodze, wyścielonej różami (Schukowitz, *Rosengärten* s. 276).

VIII. Rosalia.

W Italji, na półwyspie bałkańskim i w Azji Mniejszej znane było święto ku czci umarłych, noszące nazwę *Rosalia*, niekiedy *rosalium* — po grecku ῥοδισμός — także *Rosaria, dies rosationis* lub *dies rosae*, w górnej Italji *tempus rosae* (RE s. Rosalia s. 1111). Rosalia są najpierw poświadczone w Lucanii i to za panowania Domitiana (81—96). Czas ich obchodzenia przypada — ogólnie mówiąc — na wiosnę i waha się tak, jak waha się czas kwitnienia róż. A więc nw. 13 maja, w Rzymie 11 maja, w Pergamon od 24—26 maja, 11 kwietnia, 1 lipca, 31 maja, 28 czerwca itd. Jak z dat tych wynika przypadały Rosalia mniejwięcej w tym samym czasie, co inne uroczystości ku czci umarłych, jak Lemuria (9, 11 i 13 maja), Carnaria itd. (por. W. Klinger, *Doroczne święta ludowe a tradycje grecko-rzymskie*, p. 17). Fakt ten więc świadczy o związku Rosaliów z kultem umarłych.

Według Nilssona występują Rosalia także bez związku z kultem zmarłych w uroczystościach różnych kolegjów. Wiemy jednak, że kolegja te były często towarzystwami pogrzebowemi, którym bogatsi członkowie zwykle w testamencie przeznaczali pewną sumę pieniędzy, aby pamiętały o ich grobach w dniu urodzin lub w dniu Rosaliów.

Na napisach, które wspominają o sypaniu róż i fiołków na grobach, spotykamy często wzmianki o ucztach, urządzanych na grobach zmarłych. Ponieważ zaś, jak wiemy, róże są nieodzowną dekoracją uczty u starożytnych, dlatego też według Nilssona różami zdobiono groby (M. Nilsson, *Der Ursprung der Tragödie* [Neue Jahrbücher f. d. kl. Altert. 1911).

Trudno jednak uwierzyć w to, że związek między różą a kultem umarłych opiera się tylko na tej zewnętrznej okoliczności — urządzania na grobach uczty, podczas której używano róż. Stwierdziliśmy już wyżej związek między różą, jako kwiatem czerwonym, a kultem zmarłych. Obecnie dodajemy, że przecież róże występują w związku z kultem umarłych także poza Rosaliami. Dalej obok Rosaliów, czy *dies rosae* znamy także *dies violationis (Exempla Inscriptionum Latinorum* composuit G. Wilmanns, nr. 313). A przecież trudno powiedzieć, że fiołki dostały się na groby także z uczt, bo jeżeli Rosalia znamy np. dopiero od czasów Domitiana, to o fiołkach, jako o ofierze dla umarłych wspomina już Ovidius, żyjący wcześniej. Związek róż z ucztami, urządzanemi na grobach zmarłych, jest wprawdzie wzorowany na zwykłych ucztach, ale z pewnością zwyczaj ten rozpowszechnił się przedewszystkiem wtedy, kiedy uczty te straciły swój pierwotny charakter ofiary grobowej, a stały się jedynie wesołemi hulaszczemi ucztami. Trzeba najprawdopodobniej przyjąć, że Rzymianie, jak i ci, którzy od nich święto Rosaliów przyjęli, zapomnieli z czasem o właściwem i pierwotnem jego znaczeniu i większą wagę zaczęli przywiązywać do drugiej strony tego święta — do uczt.

Sam Nilsson mówi (ibd. 681 nn.) o związku Rosaliów z kultem Dionysosa. Z faktu tego możemy także wywnioskować łączność Rosaliów z kultem zmarłych, jak to wynika choćby z samego święta greckiego Anthesteriów. Również Nilsson mówi, że kwiaty na grobach zmarłych są śladem dawniejszych ofiar grobowych (M. Nilsson, *Das Rosenfest* [Beiträge zur Religionswissenschaft II 1918, 136 nn.]).

Czy chrześcijanie w pierwszych wiekach po Chr. obchodzili Rosalia pod tą właśnie nazwą i w takiem znaczeniu, co starożytni pogańscy Rzymianie, tego dokładnie nie wiemy; jest natomiast rzeczą stwierdzoną, że pewne formy kultu zmarłych, jak i zwyczaj sypania róż i fiołków na grobach przyjęli chrześcijanie od pogan, zwłaszcza w kulcie świętych męczenników; o samych jednak Rosaliach u nich nie słyszymy.

Dopiero w późniejszych wiekach (ok. 900 po Chr.) słyszymy o Rusaliach obchodzonych przez chrześcijan na półwyspie bałkańskim i w Rosji a mianowicie w okresie Zielonych Świąt (RE s. Rosalia s. 1115). Święto to ma tam jeszcze charakter święta umarłych, lecz polega głównie na we-

sołych pląsach, tańcach, ucztach i hulatykach, przeciwko którym Kościół zawsze ostro występował (por. V. J. Mansikka, *Die Religion der Ostslaven* s. 106, 254, 318). Ich pierwotny związek z kultem umarłych powoli się nawet zatracał. Rusalia te u Słowian zbliżają się niekiedy swym charakterem do Kalend i Saturnaliów (por. Filomata nr. 65, s. 153 nn.), bo przypadają w okresie Bożego Narodzenia.

Istniał dawniej w kościele zwyczaj, że w niedzielę Zielonych Świąt, lub przed Zielonemi Świętami spuszczano w kościele ze sufitu różę (por. F. Miklosich, *Die Rusalien. Ein Beitrag zur slavischen Mythologie* p. 1, oraz R. Ganszyniec, *Rusałki* [Filomata nr. 61]). Od tego zwyczaju niedziela ta otrzymała nazwę: *pascha rosata, pascha rosarum, dominica de rosa,* po włosku *pasqua rosata* itd. Inni jednak tłumaczą nazwę tę inaczej: „ita Pentecosten appellant Itali, quod eo fere tempore rosae floreant, ut tradunt Cruscani" (Du Cange, *Gloss.* s. Pascha Rosata, i Miklosich s. 2).

Słowo *Rosalia* przeszło do języka greckiego, gdzie ono w formie ῥουσάλια znajduje się u Theodora Balsamona i Demetriosa Chomatianosa, arcybiskupa Bułgarji z XIII w. Według Miklosicha oznaczało ono początkowo chrześcijański jakiś zwyczaj, a ludy w wierze katolickiej nieumocnione wiązały z nazwą tą pojęcie i zwyczaje pogańskie. Stało się to prawdopodobnie dlatego, ponieważ święto chrześcijańskie i pogańskie o tej samej nazwie ῥουσάλια przypadały mniejwięcej w tym samym czasie.

U Słowian i innych ludów bałkańskich — tak łaciński termin *Rosalia,* jak i grecki ῥοδωνιά wpłynął na urobienie całego szeregu nazw, pozostających w związku z kultem zmarłych lub oznaczających Zielone Święta. Między innemi nazwę naszych słowiańskich *rusałek* wyprowadza Brückner po Miklosichu od terminu *Rosalia.*

Rusałki, które w pojęciu naszego ludu są boginkami, czy nymfami, jeśli użyjemy nazwy greckiej, ukrywającemi się w gęstwinach leśnych lub w wodach, dokąd wciągają nieostrożnych ludzi, zwłaszcza rybaków, należy uznać za pierwotne dusze zmarłych. Tylko w ten sposób możemy sobie wytłumaczyć ich nazwę. Nie wiadomo natomiast, skąd rusałki wzięły swój wodny charakter. Wydaje się on nie być starym, bo nie spotykamy go np. jeszcze w ruskich pieśniach ludowych.

BIBLJOGRAFJA

PRZEGLĄD CZASOPISM

BULLETIN DE LA SOCIÉTÉ DE LINGUISTIQUE DE PARIS XXXVI 1935.

Nr. 106. 1—17 A. Mirambel, Du caractère de quelques emprunts en grec moderne. Badania nad szeregiem wyrazów, zapożyczonych z jęz. francuskiego, które w języku macierzystym posiadają kilka różnych znaczeń. — 18 H. Smith, Hindi *sabh* 'tous'. — 19—24 P. Chantraine, Remarques sur la conjugaison des verbes καθίζω et καθέζομαι. W rozwoju czasownika, oznaczającego 'siadać', zaznacza się tendencja, właściwa językowi greckiemu, do uogólnienia formacyj opartych o praesens 'déterminé' καθίζω; najciekawszą z tych formacyj jest futur. καθέζομαι; w κοινή znajdujemy nawet perf. κεκάθικα. — 25—27 J. Kuryłowicz, A propos de hittite *ḫ*. Odpowiedź na artykuł W. Petersena, The Origin of Hittite *ḫ* (Language X, 307—322), który zawiera wiele nieścisłości. — 28—42 W. Doroszewski, Pour une représentation statistique des isoglosses. Izoglosy powinny wskazywać nietylko granice obszaru, na którym istnieją pewne fakty fonetyczne, ale również stopień nasilenia tych faktów fonetycznych, tj. winny wskazywać, czy badane zjawisko jest żywotne, czy też w stanie zaniku. — 43—78 A. Roux, Le verbe dans les parlers berbères (Maroc). — 79—89 Ch. Kuentz, Les langues négro-africaines sont-elles d'origine égyptienne? Krytyka teorji, wysuniętej przez L. Homburger. — 90—106 Ch. Mugler, L'emploi du participe dans la proposition infinitive chez Homère. Homer rzadko tylko używa imiesłowu w zdaniu, którego orzeczenie wyrażone jest bezokolicznikiem (lista zebranych przykładów). Pewne konstrukcje partycypjalne ukazują się w tekstach greckich dopiero począwszy od Herodota. Oba te fakty, zestawione z faktami innych języków indoeuropejskich, prowadzą do wniosku, że omawiana tu konstrukcja składniowa jest inowacją grecką. Wytworzenie się jej można łatwo objaśnić psychologicznie, nie można jednak wskazać, jakie konkretne zwroty posłużyły tu za punkt wyjścia. Częściowo odegrały tu rolę formuły epickie, por. zwrot μάλα περ μεμαῶτα Ο 604 i Ξ 375. — 107—108 A. Meillet, Le pluriel arménien *akanjk'*. Arm. *ak-*, które tkwi w plur *akanjk'* 'uszy' reprezentuje dawne **ag-* i da się zestawić z ἀκ- w gr. ἀκούω.

Nr. 107. I—XXXVI, Procès-verbaux des séances. M. in.: XXIII E. Benveniste, Les rapports du génitif et de l'adjectif en indo-européen. Prelegent wskazuje, że wszystkie indoeuropejskie formacje gen. sg., tak

imienne, jak zaimkowe, są z pochodzenia dawnemi przymiotnikami. Morfologja potwierdza więc przypuszczenie, że użycie przymiotnika dzierżawczego obok dopełniacza dzierżawczego jest odbiciem stanu, jaki istniał już w prajęzyku indoeuropejskim. Funkcja składniowa gen. partit. da się wyprowadzić z pierwotnej funkcji ablat. W dyskusji, jaka się w tym związku wywiązała, Vaillant doszedł do stwierdzenia, że prajęzyk i. -e. nie posiadał właściwej formacji gen.; dla oddania stosunków składniowych, wyrażanych później przez gen., posługiwano się albo formami ablat., albo przymiotnikiem dzierżawczym, albo wreszcie wyrazami złożonemi. — 109—120 A. Meillet, Les sourdes aspirées en arménien. — 121—123 A. Meillet, Sur le représentant arménien *ur, ul,* d'anciennes sonantes voyelles. — 124—130 J. Vendryes, A propos de lat. *seruos*. Łac. *seruos* wiąże się z irl. *serbh* 'rabunek', cymr. *herw* 'stan, w jakim znajduje się jednostka, wyjęta z pod prawa', stąd 'włóczęgostwo, rozbój'. Wszystkie trzy wyrazy odzwierciedlają taką strukturę społeczeństwa, gdy jednostka, usunięta z klanu, albo stawała się niewolnikiem, albo też musiała utrzymywać się z rozboju. Jeżeli łac. *seruos* ma coś wspólnego z Etruskami (jak przypuszczał Benveniste, Rev. Ét. Lat. 10, 1932, 429—440; por. imię własne *Seruius*) to wyraz **serwo-*, wspólny dialektom italskim i keltyckim, może pochodzić z substratu wcześniejszego, niż przybycie Indoeuropejczyków do zachodniej części Europy. — 131—132 P. Chantraine, Grec. ἐκγεγάονται. Wymieniona forma, spotkana raz jeden w Hymnie homer. do Aphrod., 197, jest futur., utworzonem doraźnie przez poetę na podstawie perf. ἐκγεγάασι. Cechami futur. jest tu odmiana tematyczna i użycie końcówek medium. — 133—140 G. S. Colin, L' Opposition du réel et de l'éventuel en arabe marocain. — 141—154 G. Bonfante, Quelques aspects du problème de la langue rétique. Liczne wyrazy łacińskie pochodzenia obcego o wokaliźmie *a* są rozpowszechnione zwłaszcza na obszarze Alp (np.: *branca, malga, barga, gaba* itd.). Wyrazy te pochodzą z jakiegoś języka indoeuropejskiego, należącego do grupy *centum,* i zmieniającego *o* w *a;* językiem tym jest z pewnością język retyjski, który stanowi gałąź grupy illyryjskiej. Jako dowód służy tu zwłaszcza podobieństwo brzmienia szeregu nazw geograficznych retyjskich i illyryjskich. — 155—162 J. Bloch, La forme négative du verbe dravidien. — 163—166 L. — H. Gray, L'origine de la terminaison hispano-portugaise *-ez*.

3 Nr. 108. Comptes rendus. M. in.: 1 Atti del III Congresso Internazionale dei Linguisti (1933), Firenze 1935 (A. Meillet: dokładne sprawozdanie wykazuje, jak bardzo wszechstronny był kongres). — 4 Conférences de l'Institut de Linguistique de l'Université de Paris, Paris 1934 (A. Meillet: referat; książka obejmuje trzy popularne odczyty: J. Vendryes, La mort des langues; M. Cohen, La grammaire comparée chamito-sémitique; H. Maspéro, La langue chinoise). — — 5 K. Bühler, Sprachtheorie, Jena 1934 (A. Meillet: dzieło filozofa, który zna się dobrze na językoznawstwie). — 16 J. M. Kořinek, Remarques sur les onomatopées, Prague 1934 (A. Meillet: tę próbę objaśniania wyrazów indoeuropejskich przez onomatopeje należy uznać za chybioną). — 16 K. Stopa, Die Schnalze, Kraków 1935 (A. Meillet: wartościowy przyczynek do fonetyki

ogólnej i do znajomości języków afrykańskich). — 20 J. Kuryłowicz, Études indoeuropéennes I, Kraków 1935 (A. Meillet: autor wysuwa szereg ciekawych hypotez, których nie można jednak uznać za udowodnione). — 22 H. Hirt, Indogermanische Grammatik VI, Syntax, I, T., Heidelberg 1934 (A. Meillet: autor rozumie wartość wielkich problemów). — 24 V. Georgiev, Das Verbot im Griechischen, Lateinischen, Bulgarischen, Altindischen und der Injunktiv, Sofia 1934 (A. Meillet: autor ma słuszność, że odrzuca istnienie tzw. „injonctif" w prajęzyku indoeuropejskim). — 24 G. Dumézil, Ouranós-Váruna, Études de mythologie comparée indoeuropéenne, Paris 1934 (A. Meillet: praca udana). — 36 J. Marouzeau, L'année philologique VIII, Paris 1933 (A. Meillet: cenna bibljografja). — 37 A. W. De Groot, Wesen und Gesetze der Caesur, odb. z Mnemosyne, 2, 1935, 81—154 (P. Chantraine: autor dochodzi do pozytywnych wyników). — 38 Liddell and Scott, A greek-english lexicon, Part. 8, Oxford 1934 (P. Chantraine: wydany zeszyt obejmuje materjał od περιφραγή do σισιλισμός; uwagi, dotyczące poszczególnych lemmatów. — 39 F. Muller, Jzn. Grieksch woordenboek, 3 wyd., Groningen 1933 (P. Chantraine: dzieło wzorowe; dział etymologji może zbyt indywidualnie potraktowany). — 41 A. Prévot, Verbes grecs relatifs à la vision et noms de l'oeil, Paris 1934 (A. Meillet: praca sumienna, choć nie wyczerpująca). — 41 A. Prévot, L'aoriste grec en -θην, Paris 1934 (A. Meillet: pożyteczna praca). — 42 Th. Simenschy, Gramatica Limbii Greceşti I, Bucureşti 1935 (P. Chantraine: dobry podręcznik dla studentów). — 43 R. Nehrbass, Sprache und Stil der Iamata von Epidauros, Philologus, Suppl. XXVII, 4, Leipzig 1935 (P. Chantraine: praca wykonana naogół nieporządnie; wartość ma rozdział, dotyczący stylu). — 45 H. G. Meecham, The Letter of Aristeas, a linguistic Study with special reference to the Greek Bible, Manchester 1935 (P. Chantraine: dokładna praca opisowa, pożyteczna dla badaczy κοινή. — 46 J. Brands, Grieksche Diernamen, Purmerend 1935 (A. Meillet: nie wnosi nic nowego). — 46 A. Walde, Lateinisches Etymologisches Wörterbuch, 3. Auf. v. J.-B. Hofmann, Lief. 8, Heidelberg 1935 (A. Meillet: pochwały; łac. *furnus* zawiera *-ur-* odziedziczone z prajęzyka i.-e.). — 47 Supplément critique au Bulletin de l'Association Guillaume Budé VI, Paris 1934 (A. Meillet: krótki referat). — 47 J. Marouzeau, Traité de stylistique appliquée au latin, Paris 1935 (A. Meillet: cenne dzieło). — 49 Symbolae Osloenses XIII, Oslo 1934 (A. Sommerfelt: referat). — 49 F. Lot, Les invasions germaniques. La pénétration mutuelle du monde barbare et du monde romain, Paris, b. r. (A. Meillet: cenne dzieło, oparte na bezpośrednich źródłach). — 50 W. Meyer-Lübke, Romanisches etymologisches Wörterbuch, Lief. 16—20, Heidelberg 1935 (A. Meillet: cenny zbiór materjału). — 51 W. v. Wartburg, Französisches etymologisches Wörterbuch, Lief. 27—28, Paris 1935 (A. Meillet: wartościowa praca). — 55. E. Richter, Chronologische Phonetik des Französischen bis zum Ende des 8. Jahrhunderts, Halle 1934 (O. Bloch: autorka jest zwolenniczką, oddawna już ustalonej chronologji względnej zmian łaciny ludowej). — 105 Bibliografia československých prac lingvistických a filologických z r. 1932, Praha 1934 (A. Meillet: krótki referat). J. SAF.

Czy Suevowie Tacita są Słowianami?

Germania Tacita jest metryką narodu niemieckiego, ale poniekąd i naszą: wszelki przyczynek do jej interpretacji w najwyższym stopniu powinien nas interesować. Interpretacja ta była do niedawna niejako monopolem nauki niemieckiej. Dopiero w ostatnich latach zarówno praehistorycy jak historycy polityczni i ethnografowie polscy zwracają uwagę na Tacita i podejmują się samodzielnej i oryginalnej interpretacji historyka rzymskiego. Z prac tych wybiła się rozprawa doktorska J. B. Daniewskiego o Suevach Tacita, których D. uważa za Słowian, podczas gdy recenzent tej pracy N. Dumka, z większością uczonych upatruje w nich Germanów. Antikrytykę Daniewskiego i ostatnie słowo Dumki daję tem chętniej, gdyż utrzymane w poważnym tonie i ściśle rzeczowe, przyczyniają się znakomicie do wyświetlenia trudnych tych zagadnień, których naturalnie żadna dialektyka rozwiązać nie może, lecz tylko i wyłącznie wymowa faktów (językowych, archeologicznych itd.). Po przeczytaniu tych replik czytelnik uzna, że sprawa jeszcze nie dojrzała do jasnego rozstrzygnięcia: słabym punktem hypotezy D.-go jest etymologja wyrazu *Sueui*, słabym zaś punktem argumentacji D.-i jest to, że przyjmuje *Germani* i *Germania* za określenia ethniczne, któremiby oznaczano plemiona niemieckie, podczas gdy według badań S. Feista, Ogrodzińskiego i i. wiemy, że 1. właściwi *Germani* byli plemieniem keltyckiem (więc nie niemieckiem), 2. *Germania* jest pojęciem geograficznem i dynastycznem (więc nie plemiennem), oznaczającem kraj podbity i zawładnięty przez (keltyckich) Germanów, 3. *Germani* tacitowscy są różnoplemiennymi mieszkańcami państwa *Germania*, z przewagą plemion 'niemieckich', 4. fakt różnoplemienności nie wyklucza możliwości, że prócz plemion keltyckich i niemieckich pod panowaniem Germanów się znajdowały (i zatem w skład Germanii weszły) także plemiona słowiańskie: tzn. *Germania* tacitowska rozciągała się aż do Wisły (jak zgodnie z tekstem Tacita twierdzi Dumka), ale może — jak to chce Daniewski — już wtedy między Łabą a Wisłą mieszkali Słowianie, jednak pobici przez Germanów i poddani Germanii. Właśnie *hoc est demonstrandum*. Oto wywody p. Daniewskiego:

W r. 1933 ukazała się książka moja pt. *Swewowie Tacyta czyli Słowianie Zachodni w czasach rzymskich*. Jest to rozprawa doktorska, obroniona przez autora i przyjęta przez Uniwersytet Warszawski, wyjaśniająca stan Słowian Zachodnich w epoce rzymskiej (pierwsze wieki naszej ery). Po szeregu rzeczowych i przychylnych recenzyj (Illustrowany Kurjer Krakowski, Gazeta Warszawska, Kurjer Czerwony, Kurjer Poznański, Filomata itd.), ukazała się recenzja p. N. Dumki w Przeglądzie Klas. II 1936, recenzja usiłująca podać w wątpliwość moje tezy o prawieczności osiedlenia Słowian nad Łabą, Odrą, Wisłą i brzegami Bałtyku, a starająca się utrzymać pogląd, że na siedziby te przybyli Słowianie w IV—VI w. po Chr., że przedtem na nich siedzieli Germanie--Niemcy. Zarzuty stawiane mi przez p. Dumkę pozwolę sobie pokolei odeprzeć.

I. Twierdzenie moje o prabytności Słowian Zachodnich w ich historycznej siedzibie, które opierałem między innemi na tem, co pisał Tacitus, Jordanes, Adam Bremeński o narodzie zamieszkującym nad Łabą,

Odrą, Wisłą i nad brzegami Bałtyku, D. stara się podważyć, mówiąc, że „autor *Swewów Tacyta* mylną obrał drogę, jeżeli dla udowodnienia czegoś chce operować słowami autorów, oddalonych od siebie przestrzenią 400 do 600 lat“. — Muszę zaprzeczyć temu, jakoby droga udawadniania czegoś na podstawie źródeł, odległych od siebie o znaczną przestrzeń czasu, była drogą mylną. D. pisze: „Czyż można przypuścić, żeby w ciągu czterystu lat między jednym autorem i drugim (Tacitus — Jordanes), a w ciągu sześciuset lat między drugim i trzecim (Jordanes — Adam Bremeński), na terenach zamieszkałych przez tacitowych Swewów nie zaszły żadne zmiany ethnograficzne, a pozostało wszystko tak, jak było przed wiekami?“. Na to można odpowiedzieć, że podobne przypuszczenie nie jest paradoksem. Tysiąc lat na dzieje ludzkości — czyż to tak długi czas, żeby jeden lud w ciągu takiego okresu nie mógł zajmować tych samych siedzib? Przykładu szukać daleko nie potrzeba, gdyż sam D. go dostarcza, pisząc: „Jest to mniej więcej to samo, jakby ktoś chciał porównywać czasy tworzenia się Polski z dobą obecną“. Jeżeli D. rozumie pod ‘czasami tworzenia się Polski’ czasy pierwszych Piastów, od których do nas upłynęło lat około tysiąc, toć za pierwszych Piastów ten sam lud, co i dziś, mieszkał nad Wisłą i Wartą, mimo, że miały miejsce na jego terytorjum w ciągu tego tysiąclecia różne kataklizmy dziejowe (napady Tatarów, Szwedów itp.). Przykład Dumki godzi w niego samego. Jeśli przez ostatnie tysiąc lat oblicze ethniczne w swym rdzeniu na tym terenie się nie zmieniło, dlaczegoż musiałoby się koniecznie zmienić w ciągu poprzedniego tysiąca? Zresztą możnaby w dziejach znaleźć sporo przykładów, że ten sam lud na jednem terytorjum nietylko tysiąc lat, nietylko dwa tysiące, ale i więcej tysięcy lat mieszkał. Jeżeli chodzi o stwierdzenie bytności jakiegoś ludu na pewnem terytorjum w ciągu jakiegoś okresu, czyż nie najlepiej zrobić to, biorąc pod uwagę autorów, piszących o tej rzeczy w różnym czasie? Im dokładniejsza jest ich zgodność w szczegółach, a większa odległość w czasie, tem bardziej dana teza zostaje ugruntowana. Rozpiętość więc w czasie między Tacitem, Jordanesem i Adamem Bremeńskim nietylko nie może przekreślać ciągłości bytowania Słowian nad Łabą, Odrą, Wisłą, ale owszem wzmacnia to twierdzenie.

II. Uroiwszy sobie fakt jakichś wielkich migracji ethnicznych w Europie środkowej na przełomie starożytności ze średniowieczem, D. nie może się ze mną zgodzić, że plemiona Tacita, bytujące między dolną Odrą i Łabą i nad morzem Bałtyckiem — to przodkowie plemion w średniowieczu tam bytujących, to Słowianie. Twierdzi, że „Słowianie niestety przyszli tu [tj. między Łabę, Odrę i na wybrzeże Bałtyku] znacznie później“. — Temu twierdzeniu, niczem nie popartemu, muszę zaprzeczyć, wszystkie bowiem dane źródłowe przemawiają przeciwko niemu. D. utrzymuje, że „jeżeli na miejscu Swewów Tacita Jordanis podaje *Sclavini* - Słowian, jest to właśnie dowód, że za pół tysiąca lat zaszły wielkie zmiany ethniczne“. Zmiana nazwy nie może być dowodem zmian ethnicznych. Czyż można twierdzić, że ludność Rosji przedwojennej gdzieś wyszła, a na jej miejsce przyszła inna i osiedliła się w opuszczonych siedzibach dlatego, że przed wojną światową kraj nazywał się *Rosja*,

a teraz *Z. S. R. R.?*. D. mówi: „Byłoby dla nas Słowian bardzo przyjemne, gdyby nasi przodkowie doszli bardzo daleko na zachód“. Na to muszę odpowiedzieć: „Słowianie daleko na zachód zachodzić nie potrzebowali, oni tam od niepamiętnych czasów siedzieli“. Dowody na to zebrane są w mej pracy i tu ich powtarzać nie będę. Zaprzeczenie bytności Słowian w zamierzchłych czasach nad Bałtykiem, dawanie im siedzib do górnej Odry tylko, jak to czyni D., jest dowolnością, nie liczącą się ze źródłami historycznemi, jest nadto echem tendencyj niemieckich, zmierzających do lansowania urągających prawdzie teorji, że Słowianie Połabscy są nad morzem przybyszami, że los swój smutny w obcej, niemieckiej znaleźli ziemi. — Pomniki dziejowe ponad wszelką wątpliwość stwierdzają fakt, że Słowianie od niepamiętnych czasów brzegi Bałtyku dzierżyli.

III. D. zarzuca mi dalej, że mijam się z prawdą w wyrażeniu: „stosunki ethnograficzne Germanji od starożytności do średniowiecza radykalnym żadnym nie uległy zmianom, a wszelkie wielkie wędrówki ludów, przesiedlenia całych narodów, zmiany ethnograficzne na wielką skalę (z wyjątkiem ruchów skandynawskich wychodźców) zgoła w świadectwach źródłowych nie znajdują poparcia“. — Zaprzeczam twierdzeniu, jakobym mijał się w powyższem wyrażeniu z prawdą. Jedynie przytoczenie przez D. jakiegoś faktu historycznego, któryby poparł istnienie wielkich migracyj ethnicznych, wędrowania Słowian na opuszczone przez Germanów siedziby, mogłoby usprawiedliwić ten zarzut. Ponieważ D. nie może takiego faktu przytoczyć (takich bowiem migracyj w dziejach w rzeczywistości nie było), zarzut więc jego jest zupełnie gołosłowny i bezpodstawny. — Źródłem tych zarzutów, jakie stawia D. mej pracy, jak widzimy, jest wiara w nieistniejący fakt wielkich jakichś migracyj ethnicznych w środkowej Europie w okresie IV—VI w. po Chr., urojony fakt wędrowania Słowian na zachód. D. pisze: „Wędrówka ludów poruszyła ludy całej Europy, głównie wschodniej i środkowej... ciągnęły one i na nowo się osiedlały.... w okresie IV—VI w. po Chr. w całej Europie wprost kotłowało się...“. Sam jednak D. przyznaje, że podany przez niego obraz Europy w okresie IV—VI w. nie znajduje w źródłach dziejowych poparcia, że są tam tylko ‘odgłosy’. Znane w historji ruchy wychodźców ze Skandynawji (Gotów, Burgundów itd.), jak świadczą pomniki dziejowe, zmian takich wśród autochthonicznej ludności na terytorjum nad Łabą, Odrą, Wisłą i nad morzem Bałtyckiem nie wywołały. Hunnowie raczej mieli wpływ na stosunki na terenach bardziej południowych — kotlinie naddunajskiej. Obraz zmian ethnicznych na omawianych terenach opisany przez D. jest tylko przypuszczeniem i fantazją. — Twierdzenie, że fakt migracji miał miejsce, tylko Rzymianie i Grecy mało wiedzieli o tem, co się dzieje na ziemiach słowiańskich, lub że źródła zaginęły, też nic konkretnego nie daje. Argumentum ex silentio, o ile może być w pewnych wypadkach potwierdzeniem braku jakichś zjawisk, o tyle nie może być stosowane dla udowodnienia ich istnienia. — Zapewne też dlatego, że odrzucam istnienie wielkich migracyj ethnicznych, gdyż nie ma ono żadnego oparcia w źródłach dziejowych, lub nie powtarzam bezkrytycznie wytworów fantazji szowinistów niemieckich, D. zarzuca mi, że „autor zamało wgłębił się w daną epokę“. D. uwierzył zato w fakt urojony i poprowadził sądy swoje na błędne manowce.

IV. D. twierdzi, że „wogóle wszystkie etymologje autora i budowanie na nich wielkich budowli budzą wiele zastrzeżeń i są w ogromnej części pozbawione realnego uzasadnienia“ — Powiedzeniu temu muszę zaprzeczyć, jako niezgodnemu z prawdą. Jeżeli moje etymologje „są w ogromnej części pozbawione realnego uzasadnienia“ — w takim razie D. miał możność wybrania przykładu, któryby najlepiej poparł jego zarzut. Spójrzmy, jak ten przykład wygląda. Zarzuca mi D., że uznałem końcówkę *-ava* w wyrazie Σετίδαυα za słowiańską, która według jego zdania jest nie słowiańska a dacka. Twierdzenie takie dowodzi tylko, że D. nie wie, iż oddawna jest już ustalone przez naukę francuską, która się zainteresowała pochodzeniem Rumunów, do jakiej grupy ethnicznej należał naród starożytnych Daków.

V. D. pisze, że prof. Kochanowski w słowie wstępnem do mej pracy podkreślił ‘niewłaściwość’ metody utożsamiania zamierzchłych plemion na podstawie ich obyczajów. — Tu daję sprostowanie, że nic podobnego prof. Kochanowski nie podkreślał. Twierdzenie D. trzeba napiętnować jako świadome i tendencyjne mówienie nieprawdy. Prof. Kochanowski powiedział tylko, że „metoda utożsamienia zamierzchłych plemion na podstawie rodzaju ich obyczajów, nie mogąc być z natury rzeczy dość ścisłą, wiąże się jednak w omawianej tu rozprawie z godną uznania erudycją“. Twierdzić, jak to czyni D. że „podobieństwo i wspólność niektórych rysów obyczajowych i zwyczajowych u poszczególnych narodów w żaden sposób nie dowodzi ich identyczności, czy chociażby wspólności“ — nie można, bo wspólność rysów obyczajowych może być użyta przy wielu innych przytoczonych argumentach, dla potwierdzenia tożsamości omawianego ludu, tembardziej, że rysy te są charakterystyczne, nigdzie gdzieindziej na kuli ziemskiej nie spotykane.

VI. Wyrażenie D., że „dowody w pracy p. Daniewskiego są jaskrawo naciągane“, że „praca nie jest zrównoważona“, że „mało widać objektywności“ — to zarzuty gołosłowne, do których autor *Swewów Tacyta* wcale się nie poczuwa. Każdy uczony zarzuty takie przyjmuje jako obrazę nad którą przejść do porządku nie można. — We wstępie do pracy swej pisałem, że przeciwnicy tego stanowiska, które zajmuję, stanowiska opartego na źródłach historycznych, nie mogąc znaleźć dowodów na poparcie swych tez, każdą pracę godzącą w ich poglądy a priori dyskredytują. Recenzja więc D. nie jest dla mnie niespodzianką. Zwolennicy błędnych pseudonaukowych poglądów stanowią szkołę tzw. berlińsko-austrjacką, której dzięki poparciu rządu pruskiego i austrjackiego udało się już w zeszłem stuleciu opanować prawie wszystkie katedry w środkowej Europie i utrwalić na czas dłuższy swój wpływ. Poglądy szkoły berlińsko-austrjackiej muszą upaść na skutek zupełnego braku oparcia o źródła historyczne i naskutek zmiany stosunków politycznych w Europie środkowej. Przed wojną światową szkoła berlińsko-austrjacka, nie mając poparcia w źródłach, miała je jednak u rządów berlińskiego i wiedeńskiego. Dzisiaj na terenie Polski tego oparcia zwolennicy szkoły berlińsko-austrjackiej szukać już nie mogą. Prawda przez długi czas przez przemoc i złą wolę dławiona dłużej poniewierać się też nie pozwoli. Powinniśmy być wdzięczni losom, że dochowały do naszych czasów źródła, stwier-

dzające ponad wszelką wątpliwość prabytność Słowian nad brzegami Bałtyku. Nie wolno nam przeczyć im lub wykrętnie tłumaczyć oraz niewolniczo powtarzać podyktowanych z katedry w Berlinie gołosłownych twierdzeń zgangrenowanej szowinizmem pseudonauki niemieckiej. — Tezy wypowiedziane w pracy *Swewowie Tacyta, czyli Słowianie zachodni w czasach rzymskich* były wygłaszane w seminarjach Uniwersytetu Warszawskiego i dyskutowane. Zostały one obronione przez autora w obecności profesorów wydziałów historycznego i filologicznego.

JANUSZ BOŻYDAR DANIEWSKI

Na to odpowiada p. Dumka:

Właściwie moja odpowiedź powinna być bardzo krótka już z tego względu, że p. Daniewski nie przeczytawszy zdaje się należycie krytyki mojej pracy jego, podsuwa mi myśli, których ja nigdy nie wypowiedziałem. Przedewszystkiem D. twierdzi, jakobym wypowiedział zdanie, że Słowian nie było w I tysiącleciu po Chr. nad Wisłą i na wybrzeżach Bałtyku. Moje słowa krytyki brzmiały tak: „Słowianie siedzieli już od zamierzchłych czasów na lewym brzegu Wisły, docierali w niejednem miejscu do Odry, zwłaszcza górnej, jednak niepodobna uwierzyć, żeby w czasach Tacita Słowianie na zachodzie zajmowali całą przestrzeń aż do Łaby". Przytoczę, co w tej sprawie pisze taki znawca dziejów Słowiańszczyzny, jak czeski uczony Lubow Niederle (*Starożytności Słowiańskie*, T. I. Zesz. II., z czeskiego tłumaczył Ksawery Chamiec, Warszawa 1910, str. 327/8): „Że kraj ten [między Wisłą, Prypecią i Karpatami — serce Słowiańszczyzny] Słowianie zamieszkiwali już w połowie I tysiąclecia prz. Chr., wątpić nie może ten, kto głębiej wniknął w starożytne dzieje narodu słowiańskiego... Z tego właśnie kraju Słowianie, na długo jeszcze przed narodzinami Chr., szerzyli się spokojnie na zachód ku Odrze, podczas gdy Germanie, wypierając Gallów ku południowi, posuwali się w stronę Słowian od dolnej Elby. Kiedy i gdzie się spotkały ze sobą oba te pierwiastki — nie wiemy; wszakże skoro nazwę Wisły wzięli Germanie od Słowian, przeto możemy słusznie przypuszczać, że, dorzecze Wisły, może aż do samej Odry, mieli Słowianie w swem posiadaniu ze stron obu, zanim tam przyszli Germanie. Stąd jednak nie wynika, byśmy wiedzieli w jaki sposób powstały i jak się zaczęły układać pierwsze stosunki między obu narodami. Późniejszy tylko stan wskazuje, że Słowianie zaczęli ustępować, Germanie zaś iść ku Wiśle tak szybko, iż za czasów rzymskich rzeka ta, acz nie zupełnie słusznie była uważana za wschodnią granicę między światem germańskim a sarmackim". — Tak pisze Czech, którego wcale nie można posądzać o jakieś tendencje germanofilskie. — Dalej nigdy nie twierdziłem, żeby Słowian nie było w dorzeczu Wisły i nad Bałtykiem w I tysiącleciu po Chr. Zawsze utrzymywałem, że już przynajmniej około Narodzenia Chrystusa, o ile nawet nie wcześniej, siedzieli Słowianie na wybrzeżach Bałtyku, u ujścia Wisły i na wschód od niego. (Widać to najdokładniej z Klaudiosa Ptolemaiosa, który jakkolwiek pisze w II w. po Chr., w szeregu wypadków wykorzystuje źródła starsze. Ten przecież najwyraźniej podaje nad Bałtykiem jako wielki naród Wenedów, a zatem — Słowian.

Jakaż jest zasadnicza różnica pomiędzy mną, a D.? D. przyjmuje, iż od czasów niepamiętnych Słowianie siedzieli bez żadnych zmian na całej przestrzeni na wschód od Łaby i nie zaczepiły ich żadne przewroty i wędrówki, ja natomiast jestem bardziej konserwatywny i trzymam się źródeł bez ich naciągania; to też powiadam, że Słowianie dopiero podczas drugiej swej wędrówki (III/IV — VI w. po Chr.), a zatem w czasie tzw. wielkiego rozsiedlenia się Słowian, dotarli aż do Łaby i po kilku stuleciach zażartych walk z naporem germańskim musieli ulec, czy też ustąpić lub zasymilować się. Resztki Słowian nad Łabą mamy w dzisiejszych Łużyczanach. Na jakiej więc podstawie twierdzi D., że Słowianie siedzieli na całej przestrzeni na wschód od Łaby, skoro Strabon piszący w latach 10—12 po Chr. o Germanji, opierając się na najnowszych wiadomościach z wypraw rzymskich aż do Łaby, powiada, że wszystko na wschód od Łaby, a zatem kraje w stronę Słowiańszczyzny położone, są zupełnie nieznane i że do jego czasów nikt nie przeszedł na wschód poza Łabę (Strabon VII, 294: τὰ δὲ πέραν τοῦ Ἄλβιος τὰ πρὸς τῷ ὠκεανῷ παντάπασιν ἄγνωστα ἡμῖν ἐστιν... οὐδὲ πεζῇ παρωτεύκασιν οὐδένες). Strabon znał to o Germanji, co mu dały wiadomości z pochodów rzymskich aż do Łaby. Dopiero Tacitus w jakieś ośmdziesiąt lat później, opierając się na szeregu nowych dowodów i świadectw, zdobytych w czasie wypraw na Germanów Tiberiusa, Germanicusa, Velleiusa Paterculusa i innych, Pliniusa Starszego, który napisał ogromne dzieło o Germanji *(Bellorum Germaniae viginti libri)*, gdzie przedstawił wszystkie wojny Rzymian z Germanami, różnych itinerariów (chociażby bursztynowych) itp., przyznał cały teren mniejwięcej do dzisiejszych granic Polski Germanom. Jakkolwiek Tacitus nie zadowala nauki dzisiejszej w pełnym stopniu, jednak był on zbyt dobrym historykiem, żeby nie wiedział i nie rozumiał, co pisze. Tacitus krytycznie odnosił się do swych informacyj i wiedział jako tako dokładnie, gdzie należy położyć granicę pomiędzy plemionami germańskiemi a niegermańskiemi. Stąd też skończywszy opis Germanji w jej wschodnich plemionach — swewskich, pisze wyraźnie (*Germ.* 46): „Hic Suebiae finis", a dopiero zkolei przechodzi już do ziem, niezamieszkanych przez Germanów, lecz zamieszkanych przez Peukinów, Wenedów, Finnów i Sarmatów, a zatem do ziem prawie wyłącznie słowiańskich. Tutaj podaje również Tacitus różne legendarne i bajeczne narody Europy.

Wielkie rozsiedlenie słowiańskie (IV [a może jeszcze III] — VI w. po Chr.) rozpoczęło się w związku z ruchami plemion germańskich. Na południu ponadto wpływ decydujący na tę wędrówkę miał pochód hord ugrofińskich. Lecz co właściwie było powodem migracji Germanów wschodnich z dorzecza Odry i Łaby w strony Dunaju, Dniepru oraz Morza Czarnego, nie jest znane dokładnie. Możliwie, że zaczęła się ta migracja pod naciskiem Słowian i Aestiów ze wschodu. Wędrówka Germanów na wschód i na południe musiała wywołać wędrówkę Słowian na zachód. Z chwilą, kiedy w sąsiedztwie na zachodzie okazały się opróżnione tereny, to Słowianie musieli tutaj wejść. A zatem zasiąg zaludnienia terenów przez Słowian na zachodzie bardzo mocno się powiększył. Masowa wędrówka Słowian zaczyna się już, zdaje się, w III w.

po Chr. Szła ona niezbyt szybko, napewne nie brakło w niej epizodów dramatycznych i walki orężnej i krwawej z resztkami Germanów, pozostałych na tych terenach, lecz niestety nie mamy o tem w źródłach żadnych wiadomości. Got Jordanis, który pisze w VI w. po Chr., opisując Słowian nad Dunajem i Morzem Czarnem, kładzie jeszcze dotychczas Wisłę jako granicę pomiędzy Germanją a Sarmacją, o Słowianach zaś nad Łabą czy chociażby Odrą ani słówkiem. Podobnie mamy i w innych źródłach. Tylko Prokopios, autor współczesny Jordanisowi, opisując wędrówkę Herulów na początku VI w. znad średniego Dunaju do Danji, całkiem przypadkowo wspomina o licznych plemionach słowiańskich na tej drodze, a zatem w krajach karpackich i w dorzeczu Odry. Mimoto jednak i wtedy jeszcze Słowianie nie opanowali byli wszystkich ziem aż do samej Łaby. W dorzeczu dolnej Łaby przeszli Herulowie wielką pustynię (ἔρημον δὲ χώραν διαβάντες), zanim dostali się na wybrzeża Bałtyku do Warnów i Danów (Procop. *Bell. Got.* II 15). Rozumie się, że są to jeszcze wiadomości bardzo niedokładne. Dokładniejsze wiadomości o rozsiedleniu się Słowian na zachodzie mamy dopiero z chwilą powstania państwa zachodnio-słowiańskiego za Samona, mniejwięcej w połowie VII w. i z zapoczątkowaniem pierwszych wojen Słowian z państwem frankońskiem. Z tych czasów dopiero wiemy, że Słowianie opanowali wszystkie tereny aż do Łaby i poza Łabą, nad Morawą i Mołdawą.

Tak przedstawia dane wypadki Hruszewskij (*Istorja Ukrainy-Rusy* I³, 162 nn. — O pierwotnej praojczyźnie słowiańskiej ibid. 62 nn.). Podobnego zdania jest Niederle (s. 28 nn.). A nawet uczeni, zgrupowani koło *Slavia Occidentalis*, którym chyba w żaden sposób nie można zarzucić germanofilstwa, są bardzo ostrożni w swych poglądach i chyba tylko w szczegółach różnią się od sądów Hruszewskiego i Niederlego. Ten ostatni omawiając ptolemaiosowych Οὐέλται słowiańskich *Weltów* czyli Lutyków, m. i.: pisze tak (s. 479): „Nie zapominajmy bowiem, że w czasach przedptolemaiosowych zaczynały się tylko wędrówki ludów germańskich i że dopiero w okresie poptolemaiosowym całą Germanię tak dalece opuścili Niemcy, iż Słowianie mogli już znacznie swobodniej ruszyć ku zachodowi. Po śmierci już Ptolemaiosa nastał ruch, który cały szereg większych plemion słowiańskich przeniósł od Wisły na zachód, i jeśli w końcu I tysiąclecia po Chr., spotykamy Weltów-Lutyków między Odrą a Wisłą, przeto przypuścić należy, iż to nastąpiło naskutek tego właśnie ruchu i że w dobie ptolemaiosowej siedzieli oni istotnie bardziej na wschód, czyli tam, gdzie po prawej stronie Wisły umieszcza ich mapa ptolemaiosowa, poprawiona tak jakeśmy to uczynili". To są głosy tylko dwóch koryphaiów nauki słowiańskiej. Ale to nie jedyne głosy: zdanie ich podziela także A. Brückner. Jeżeli przyjąłem zdania powyższych uczonych, to dopiero po długim namyśle, gdyż zrozumiałem, że jeżeli one nie dają już całkowitej prawdy, to przynajmniej najwięcej prawdopodobieństwa. To, co D. powiada, że Słowianie siedzieli bez przerwy od czasów zamierzchłych na całej linji na wschód aż od samej Łaby, nie ma ani w tekstach ani w innych dowodach uzasadnienia. Postawię jedno tylko pytanie. Jeżeli Słowianie zajmowali bez przer-

wy od czasów najdawniejszych całą przestrzeń od Łaby na wschód, gdzież właściwie siedzieli Germanowie zwłaszcza, że — jak sam D. twierdzi — przyszli tutaj również wychodźcy skandynawscy? Czy tylko na przestrzeni na zachód od Łaby do Renu? Słowianie siedzieli nad Bałtykiem u ujścia Wisły, i w dorzeczu Wisły, może nawet gdzieniegdzie dochodzili do Odry, lecz dalej na zachód aż do samej Łaby posunęli się dopiero później tak, jak to wyżej podałem. A jeżeli tego nie poparłem w recenzji dowodami, jak to mi D. zarzuca, to tylko dlatego, że Przegląd Klas. zbyt wolnego miejsca nie ma.

D. się myli, skoro twierdzi, że stosunki ethnograficzne Germanji na przełomie starożytności i średniowiecza nie uległy żadnym radykalnym zmianom, a wszelkie wędrówki ludów, zgoła w świadectwach źródłowych nie znajdują poparcia. Z braku miejsca dowodów nie będę podawał. Niechaj z całego szeregu dzieł o tej kwestji D. przestudjuje chociażby dzieło Ludwika Schmidt'a, cytowane przezemnie w recenzji. A co do wędrówki ludów, która poruszyła ludy całej Europy, głównie wschodniej i środkowej, i jakie zamieszanie zrobiła ona na tych terenach, niechaj D. przeglądnie jedno przynajmniej dzieło, dotyczące wędrówki ludów, np. Wietersheim - Dahn, *Geschichte der Völkerwanderung*, albo odpowiednie artykuły w Pauly - Wissowa RE. Prawda, pisali to przeważnie sami Niemcy ze szkoły 'berlińsko - austrjackiej', ale pisali mądrze, a idąc za mądrem przysłowiem łacińskiem *fas et ab hoste doceri*, w niejednem D. nauczy się w danej sprawie. D. bezpodstawnie odrzuca fakt, że na ziemiach wschodniej i środkowej Europy odbywały się równocześnie dwie wędrówki ludów, jedna ze wschodu plemion ugrofińskich, a druga znad Bałtyku ludów germańskich i stamtąd głównie na państwo rzymskie. A starcie obu tych wędrówek nastąpiło na stepach czarnomorskich. Te wędrówki przeorały skład ethniczny danych terenów, na miejsce jednych ludów przyszły drugie. Coprawda, mamy o tem tylko odgłosy; lecz choć tych odgłosów jest niezbyt wiele, to przecież możemy z nich wyrobić sobie jaki taki obraz tego wszystkiego, co na wspomnianych terenach się działo. Dzisiaj zaś źródła wschodnie tę tak ważną w historji kartę coraz bardziej odcyfrowują. Jeżeli D. nie zechce studjować dzieł niemieckich, to niechaj przeczyta doskonałe dzieło o Germanach, ich wędrówkach i wogóle wszystkiem, co się tyczy starożytnych Germanów (niemało też i o wędrówkach ludów ze Wschodu), uczonego rosyjskiego Teodora Brauna pt. Разысканія въ области готославянскихъ отношеній. I. Готы и ихъ сосѣди до V. вѣка. Petersburg 1899.

Cały swój misterny gmach, że Swewowie są Słowianami zachodnimi w ich prastarych siedzibach, stara się D. pobudować na etymologji słowa, że *Suevi* = *Slavi*, a wreszcie na pewnych podobieństwach obyczajowych i zwyczajowych między jednymi i drugimi. Ależ inni uczeni etymologję *Suevi* wyprowadzają inaczej, chociażby podany przez nas w recenzji Schönfeld. Tem samem ten tak twardy i niewzruszalny gmach, na którym głównie wszystko D. buduje, okazuje się budową z kart. Powołam się na to, co w danej sprawie wypowiedział Hruszewskij (*Ist. Ukr. - R.* I², 489): „Nie uważam za rzecz potrzebną zastanawiać się nad nienaukowemi i fantastycznemi rozszerzeniami terytorjum słowiań-

skiego w różnych teorjach, które uważały Słowian za tubylców w Germanji, na Bałkanie itp. Podstawą dla nich służyły tożsamość względnie podobieństwo nazw; w ten sposób do Słowian zaliczano np. Wenetów italskich i armoryckich; za tem szło nakręcanie na słowiańskie różnych obcych nazw, np. Suebów = Suewów na Słowian, i Semnonów na Ziemian itp. Próby — wzmocnienia tych teoryj daleko wcześniejszego rozsiedlenia się na zachodzie... dowodami archeologicznemi... nie mają znaczenia, gdyż te dowody same potrzebują dowodów". Swoje zdanie o takich etymologjach wypowiedziałem w recenzji. Mógłbym tutaj podać kilka anegdotek na temat różnych etymologij dzisiejszych niektórych narodów, ale na to niema miejsca. Wcale jednak nie przeczę, żeby między Swebami nie było pewnej ilości plemion słowiańskich. To bardzo możliwe. Lecz element germański u Swebów był bezprzecznie dominujący.

Że nazwy miast starożytnych, zakończone — zwłaszcza u Ptolemaiosa — na *-dava* (-δαυα) są dackie, nie zaś słowiańskie, jak to mylnie twierdzi D., dowodem jest chociażby sam Ptolemaios, którego mapa Dakji jest pełna tych nazw (Ptol. *Geogr.* III 8, 4 nn.,ed. C. Müllerus). Jest tam tych nazw przynajmniej z dziesięć. Nie będę ich tu wyliczał, gdyż D. może to sam stwierdzić. Zresztą i nowożytna nauka w swych najlepszych znawcach danego zagadnienia, uznała nazwy na *-dava* na interesujących nas terenach za dackie, np. Braun (s. 175), Niederle (s.487), Hruszewskij (I[3], s. 123), Tomaschek (*Die alten Thraker,I* 108) i szereg innych. Nazwy te, oznaczające 'ród, osadę', znajdują się również i na innych terenach, zwłaszcza gdzie żyli niegdyś Thrakowie (Tomaschek, *Die alten Thraker* III 70). O tych sprawach mógłby D. znaleźć bardzo dużo materjału w szeregu dzieł rumuńskich, np. Parvân Vasil, *Getica,* Bukareszt 1927, które ma streszczenie francuskie, a tłumaczenie — o ile wiem — angielskie i niemieckie. Gdyby D. znał dzieła rumuńskie, zapewne szukałby wyjaśnienia kwestji pochodzenia Rumunów, oraz do jakiej grupy językowej należał język starożytnych Daków, przedewszystkiem u uczonych rumuńskich a potem dopiero skonfrontowałby dzieła francuskie. (Nowszą, głównie już powojenną literaturę, dotyczącą starożytnej Dakji i pochodzenia Rumunów, opracowaną przez uczonych rumuńskich, znaleźć można w Kwart. Hist. 1934 i 1935).

To są trzy najważniejsze zarzuty, które skierował przeciwko mnie p. Daniewski w swej antykrytyce. Reszta zarzutów jest całkiem drugorzędnej wartości, na które odpowiem krótko. [Ponieważ dalsza część nie przynosi nic nowego do tego zagadnienia, redakcja ją skreśliła].

NIKITA DUMKA.

KRONIKA

NIESAMOWITOŚCI OŚWIATOWE

I.

Zaszedł we Lwowie wypadek, wypadek właściwie codzienny w ostatnich latach naszego szkolnictwa: przeniesiono dyrektora gimnazjum na emeryturę i zamianowano nowego kierownika. Fakt tak codzienny w naszem życiu szkolnem, gdzieśmy już przywykli do tego, że jedynym stałym czynnikiem i stróżem tradycji gimnazjum jest woźny, którego ni referent personalny, ni Kurator, nawet nie prezes P. Związku Nauczycielskiego, lub posłanka Jaworska — te wyższe instancje w naszem Okręgu Szkolnym — nie śmią ruszyć zlekka, bo tercjan jeden potrafi się bronić. Przytem, jak wiadomo, panuje obecnie tak parszywa forma wysadzania wiernych pracowników Polski, że aż wstręt o tem wspomnieć: przychodzi taki dyrektor do kancelarji 30 czerwca, a między korespondencją leży tam — na honorowem miejscu należycie wyróżnione przez tercjana, który wąchał pismo nosem — komunikat, iż z dniem 1 lipca przenosi się dyrektora w stan spoczynku: murzyn zrobił swoje, murzyn może pójść. Maniery te — jeśli to wogóle są maniery — panują nietylko w niższych sferach szkolnictwa: także wysokim dygnitarzom zdarza się natrafić na taką korespondencję, a najwyższym podobno zostawia się czasem godzinkę czasu do napisania prośby o zwolnienie ze służby, na którą to prośbę odpowiedź gotowa już niecierpliwie czeka. To wszystko jest sprawą przykrą, ale nie naszą, nie lwowską, lecz obecnie ogólnopolską. Osobiście nie gustuję w tym modnym dziś prasarmatyźmie. Wyobrażam sobie, że Kurator, i nawet p. viceminister, nic nie traciłby na powadze i prestiżu, jeśli przy przeniesieniu dyrektora gimnazjum w stan spoczynku kazał się reprezentować — jeśli mu szkoda własnej fatygi — przez Wizytatora i podziękować w kilku słowach na piśmie za wiernie spełnioną słężbę: słowa te będą ostatnim akordem mile pojednawczym długiej i pełnej często dysonansów symfonji życia ofiarnego. I napewno nie ucierpiałaby władza na sprężystości i energji, gdyby powiadomiono dyrektora chociażby miesiąc wprzód o zamiarze wyproszenia go z gimnazjum — obecnie tercjan, który to słyszał na ucho od kolegi, zawsze wie to pierwszy, i nim 'to' pismo z Kuratorjum nadchodzi, łazi on niby zatruty ciężką tajemnicą urzędową i patrzy zpode łba z osobliwą miną na nic nie przeczuwającego skazańca, który potrafi być dalej tak beztroski i dzielny pod mieczem damoklesowym. A nauczyciele? Oni przecież dzięki 'dobru szkoły' i komisjom lekarskim są już tak zdziesiątkowani i potulni, iż

każdą nową egzekucję witają owym bladym uśmiechem, którą to maską wyrażają swą bezradność wobec kismetu. Dajcie chociażby możność pożegnania się ze swym dyrektorem...

Ale zostawmy to — chciałem przecież mówić o tem, co zaszło we Lwowie. Tam w państw. gimnazjum V im. hetm. Żółkiewskiego był dyrektorem p. J. Szmydt, którego kilka lat temu zaproszono z prowincji do objęcia owej dyrektury. Musiał się wyróżnić swemi zaletami: nieraz bowiem słyszałem słowa pochwały dla jego inteligencji, dzielności, sprężystości, sumienności w samem Kuratorjum. Żałuję obecnie, że nie starałem się go poznać bliżej. Nagle przestał się podobać komuś. Zaproszono go do Komisji lekarskiej. Człowiek zdrów jak Polak (tak mówią w Niemczech), ok. 50-ki swej czując się akurat w sile wieku, w pełni doświadczenia i zapału pracy, śmiał się widocznie z tego i poszedł. Popełnił dwa kardynalne błędy: pierwszy, że brał to lekko, dufny w siebie — doświadczenie innych powinno było go nauczyć, że nauczyciel (odmiennie od normalnego człowieka) nie wie, czy w pewnym danym wypadku jest chory, ale wie to władza: jeśli bowiem jest chuderlawy — to gruźlik lub anemik, *leucaemia perniciosa;* nie jest chudy — to typowa *obesitas*, za którą poszedł mój przyjaciel K. J.; jest on obojętny wobec lekarza — to ma stępioną wrażliwość; odważy się na uwagi — to niebezpieczny neurasthenik. Właściwą tuszę i właściwy temperament mają tylko dygnitarze i ultrazapaleńcy Zrębu, Związku, Hitachduftu i podobni błagonadiożni, których zresztą z reguły nie posyła się przed Komisję. Więc to był jeden błąd. Drugi błąd to, że dyrektor poszedł — powinien był nie pójść, skoro nie chorował i nie czuł się chorym. Nie uczę buntu, uczę tylko ustawy: znawcy jej objaśnili mię, iż posyłanie zdrowych nauczycieli przed Komisję lekarską jest praktyką nie opierającą się na ustawie, i nauczyciel może nie stosować się do wezwania. I rzeczywiście znam wypadek, gdzie nauczyciel posyłany kilkakrotnie przed uzyskaniem 15-lecia służby nie stawił się i dzięki temu siedzi do tej chwili szczęśliwie na posadzie, z której ruszyć go może tylko 'dobro szkoły'. Ma on sporą kolekcję tych wezwań: ale przyjdzie i na niego kreska — diagnozę Komisji lekarskiej mogę mu już obecnie zdradzić: „chory na złośliwą obstrukcję" (naturalnie: wezwań Kuratorjum). Jaką chorobę u dyr. Szmydta skonstatowano, nie wiem: 'granicę wieku' czy też *endecitis*, która ponoć niebezpieczniejsza jest od *appendicitis* — a człowiek wyglądał tak zdrowo i tak przyzwoicie! Dość, że przeniesiono go w stan spoczynku. Robiło to wrażenie przykre. Czynniki we Lwowie umywają ręce i zapewniają, że to dzieło Warszawy, że to ich zaskoczyło, że o niczem... Prawda to?

II.

Widocznie więc brak koordynacji między Warszawą a Lwowem. O czem chyba jednak wiedział nacz. Jus i wogóle Kuratorjum Lwowskie, to o mianowaniu kierownika gimnazjum V w osobie p. Tadeusza Strojnego. Pociągnięcie to ze wszech miar niefortunne. W Kuratorjum liczą widocznie na krótką pamięć Lwowian, a może pamięć tam jest krótka. Wolno mi więc przypomnieć z tej okazji pewną sprawę — jedyna to zresztą rola, którą p. Strojny grał przed szerszą publicznością. Natural-

nie to były dygnitarz Polsk. Związku Nauczycielskiego — był on tam kiedyś sekretarzem Związku Zaw. Naucz. Szk. Średnich i sięgając po wyższe laury (a raczej owoce — ci panowie bowiem są praktyczniejszymi idealistami od nas), napisał on, który niedawno temu przy uwzględnieniu wszystkich okoliczności łagodzących zdał egzamin nauczycielski, projekt reformy szkolnictwa średniego pt. *Sprawa Gimnazjów* (*Słowo Polskie* nr. 297 z dn. 29 października 1929) — typowy stek komunałów wówczas (dziś już nie) błagonadiożnych, któremi zachwaszczono pisma prorządowe — które na tem zresztą się też udusiły, jak *Słowo Polskie*. Wyliczywszy typy gimnazjów, konstatuje tam Strojny, że Lwów ma 12 gimnazjów męskich, w tem 3 klasyczne, 1 neoklasyczne, 4 mat.-przyrodnicze i 4 humanistyczne. Ucząc właśnie w gimnazjum humanistycznem, uważa typ ten za typ przyszłości i likwiduje wszystkie inne na jego rzecz: typ ten ma tylko jeden 'fehler', że ma łacinę, „tę największym sentymentem otoczoną u nas naukę“, co jemu, przyrodnikowi, widocznie działa na nerwy. Poczuwa się też do obowiązku podania charakterystyki gimnazjum klasycznego — wygląda ono pod jego pędzlem tak:

> „Typ klasyczny gimnazjum cieszy się wielką opieką i troskliwością profesorów starszej daty, przedewszystkiem zgrupowanych w TNSW, jakoteż niektórych byłych radców, którym wykucie i zapamiętanie szeregu słówek greckich, odmian i wyjątków wydaje się szczytem wykształcenia. Ci też przeważnie posyłają swoje dzieci do gimnazjów klasycznych. Pozatem stanowi to dla nich podstawę dumy rodzinnej, że synek już w pierwszej gimnazjalnej jest czemś wyższem od swych rówieśników, bo uczy się łaciny, nie pospolituje się z innymi, a w szczególności z powszechniakami: jednem słowem jest — arystokratą, a w przyszłości będzie gardził pozostałą hołotą“.

Zdumienie Lwowa było olbrzymie, bo żyły tu jeszcze tradycje pewnej kultury. Konsternacja była tem większa, że w taki ton uderzył młody, od biedy kwalifikowany przyrodnik, typowy przedstawiciel partactwa reformatorskiego, wówczas się panoszącego. Co się tyczy oszczerstwa, rzuconego na TNSW, dał mu spokojną odpowiedź dr. Stefan Kuczyński pt. *W odpowiedzi na artykuł bez skrupułów* (*Słowo Polskie*, nr. 312 z dnia 3 listopada 1929), w którym czytamy m. i.: „Nie zawahał się też szanowny autor rzucić obelgi w stronę humanistów i nauczycieli filologji klasycznej, gdy stwierdził z nieprzytomnym tupetem, że profesorom języków starożytnych 'wykucie i zapamiętanie szeregu słówek greckich, odmian i wyjątków wydaje się szczytem wykształcenia'. Z jakiem oburzeniem musieli czytać tę napaść wszyscy ci wykształceni lekarze, adwokaci, inżynierzy i inni, którzy po kilkudziesięciu nieraz latach od ukończenia gimnazjum za najsubtelniejszą rozkosz życia swego uznają możność obcowania z nigdy nie starzejącą się kulturą świata starożytnego drogą nabytej w gimnazjum znajomości łaciny i greki. Dzięki tym językom uzyskali oni podstawę tego wykształcenia, które czyni ich członkami tych wielkich kręgów kulturalnych, którym na imię europejskość i zachodniość“. Z punktu widzenia reformatorskiego dałem sam odpowiedź pt. *Uwagi na marginesie artykułu prof. Strojnego* (*Słowo Polskie*

nr. 303 z dn. 4 listopada 1929), którą dla wygody kolegów przedrukowuję:

„Czytelnicy Słowa Polskiego nr. 279 z dn. 29 października b. r. mieli nielada niespodziankę: otóż p. prof. Strojny, sekretarz Koła Lwowskiego Związku Zawodowego Nauczycieli Polskich Szkół Średnich, dał upust swym sentymentom na temat reformy gimnazjum i doszedł do przekonania, że we Lwowie wszystko będzie lepiej, jeśli się zgładzi ostatnich Mohikanów dawnego regime'u, gimnazja klasyczne, „jedyną szkołę, która stoi na przeszkodzie jednolitości szkolnictwa". — Jest to jeden wśród wielu pomysłów ludzi, rwących się zamiast do cichej a twórczej pracy do hałaśliwego i pretensjonalnego reformatorstwa — pomysł nawet niebardzo oryginalny, skoro p. Łopuszański go już miał i w 90% urzeczywistnił. Nie w tem więc osobliwość i oryginalność p. Strojnego; oryginalne jest tylko uzasadnienie tego wniosku, tak oryginalne w swej logice i stylizacji, że czytelnicy Słowa Polskiego, rekrutujący się bądź co bądź z inteligencji, poprostu osłupieli.

„Bo wyrok śmierci na gimnazjum klasyczne feruje p. Strojny na podstawie jego charakterystyki. Jako matematyk - fizyk jest on naturalnie we wszystkich kwestjach, dotyczących wykształcenia humanistycznego i języków klasycznych, szczególnie kompetentny, i jako zapalony jednolitowiec, także naturalnie, specjalnie bezstronny. Oto więc jego argumenty: za typem klasycznym stoją: 1. profesorowie starej daty, 2. TNSW, 3. byli radcy, którzy właśnie posyłają synków swoich do tych gimnazjów, 4. w wychowanków gimnazjum klasycznego wpaja się przekonanie, że są 'arystokratami' wśród 'pospólstwa' rówieśników, 5. wyposażenie tych szkół (pożal się Boże!) jest niezgorsze.

„To są cechy i — grzechy gimnazjum klasycznego. Coby powiedział p. Strojny, gdyby ktoś charakteryzował w tymże stylu gimnazjum matem.-przyrodnicze jako 1. idealny typ szkoły ludzi, pozujących wobec braku zawodowych kwalifikacyj na reformatorów szkolnictwa, głoszących np. nauczanie matematyki bez kredy i bez gąbki, 2. szkoła wymierająca mimo protekcji ministerjalnej i nagonienia do niej uczniów, 3. szkoła synków anormalnych radców (bo radca normalny, jak wiemy od p. Strojnego, posyła synka do szkoły klasycznej) i śledziarzy, 4. typ wytwarzający pospólstwo wśród inteligencji itd. itd.? — To jest fałszywe, niewątpliwie, to nielojalne, podłe — ale czy p. Strojny mówi inaczej o gimnazjum klasycznem? Z wszystkiego, co on pozatem przytacza, jest prawda tylko to, że w s z y s t k i e gimnazja lwowskie (nietylko humanistyczne) są przepełnione. Podczas gdy logika wobec tego nakazywałaby wniosek: „Więc uprośmy Rząd, żeby nam wybudował nowe gimnazja (dajmy na to: gimnazja humanistyczne) i tymczasem udzielił kredytu na rozbudowę istniejących gmachów", p. Strojny w logice jak na matematyka — powiedzmy łagodnie — groteskowej uchwala zarznięcie klasyków. Czy uzyska przez to choćby jedną izbę szkolną więcej?

„Alić należy się litować nad gimnazjum humanistycznem!" — Naturalnie. Tylko przyznamy lojalnie, że p. Strojny o sytuacji naszego szkolnictwa, jako też o zagadnieniu szkolnem nie ma pojęcia, i narazie tylko umie (ale czy rozumie?) hasło: Szkoła jednolita! Ta ignorancja

dla sekretarza Związku Zawod. NPSŚ jest kompromitująca i nie da się zmazać tupetem, którego reformatorowi, naturalnie, nie brak. W opozycji do TNSW i do planów Grabskiego stałem jeszcze przed majem 1926 otwarcie, za co honoris causa zostałem skreślony np. z listy recenzentów podręczników szkolnych, w opozycji stał wizyt. Jus itd. Nie wie p. Strojny, że typ klasyczny nie wymiera, lecz tylko przemocą jest zgładzony; mam pod ręką tylko statystykę (odnośnie do Górnego Śląska; gdzie jednolitowcy z wielką szkodą dla polskiej kultury znieśli gimnazja klasyczne: tam liczba uczniów wynosiła:

Rok	Katowice	Rybnik	Król. Huta	Lubliniec
1924	610	300	430	80
1928	689	600	730	200

p. Strojny jest matematykiem — nawet gdyby był ignorantem w swej dziedzinie, niewątpliwie przyzna, że te liczby jakoś nie wyglądają na wymarcie gimnazjum klasycznego wskutek marazmu, i że wyroki śmierci wykonują na najżywotniejszym dziale szkolnictwa średniego.

Dlaczego to? Powód jest tylko jeden: gimnazjum klasyczne jest rzeczywiście „jedyną szkołą, która stoi na przeszkodzie jednolitości szkolnictwa“, i dlatego, według jednolitowców typu p. Strojnego, musi być zgładzona... ‘Jednolita szkoła’ — to wielka idea, o którą przecież i ja walczę, a to przed p. Strojnym. Tylko nie wszyscy się rozumiemy — chodzi poprostu o to, na które słowo kto kładzie nacisk: jednym chodzi jedynie o j e d n o l i t o ś ć za wszelką cenę — proszę Panów, ta doskonała jednolitość, o której marzycie, istniała już przed szkołą, mian. analfabetyzm, i poczynania jednolitowców polskich narazie poszły też w tępieniu elity umysłowej (nazwaną przez p. Strojnego ‘arystokracją’); począwszy od pierwszego stopnia ‘alfabetyzmu’ zaczyna się w praktyce różnorodność szkoły. Dlatego inni, którzy coś wiedzą o szkole i oświacie, akcentują raczej wyraz ‘szkoła’, tzn. c e l całego szkolnictwa i ostrzegają przed burzeniem tego, do czego jednolitowcy jeszcze nie stworzyli ekwiwalentu. Do tych należą prócz mnie także Związek Zawodowy NPSŚ, który dnia 3 czerwca wysłał delegata na Zjazd filologów klasycznych w Poznaniu z 5 tezami, ustalonemi na specjalnem zebraniu (czy nie dziw bierze, że sekretarz Koła Lwowskiego tegoż Związku o tem widocznie nic nie wie?), z których przytoczę tylko pierwszą: „Związek Zaw. Nauczycielstwa Polskich Szkół Średnich, jako organizacja nauczycielska, uznając, że typy szkół średnich (klas., hum., mat.-przyr., neohum.) są równorzędne w swej wartości wychowawczej, stwierdza, że n a u c z a n i e f i l o l o g j i k l a s. w s z k o l e ś r e d n i e j t y p u h u m a n i s t y c z n e g o i k l a s. s t a n o w i j e d n ą z p o d s t a w k a r d y n a l n y c h w y k s z t a ł c e n i a h u m a n i s t y c z n e g o i wobec tego wyraża przekonanie, iż filologja klas. na terenie szkoły średniej odegrać powinna pierwszorzędną rolę w wychowaniu młodego pokolenia niepodległej Rzeczypospolitej, strażniczki kultury zachodniej“. Delegat stwierdził także, że „Związek, jako organizacja ogólno-nauczycielska, upatruje w nauczaniu filologji klas. j e d n ą z z a s a d n i c z y c h d ź w i g n i k u l t u r y n a r o d o w e j“. A wizyt. Jus, niewątpliwie, jak p. Strojny sam przyzna, lepszy znawca

szkolnictwa, uważa całą reformę wogóle za warunkową, skoro oświadcza (w organie Koła Lwowskiego Związku zaw. NPSŚ): „Zasada jednolitości szkoły nie może być tak przeprowadzona, by spowodowała obniżenie stanu umysłowego uczelni akademickich i poziomu intelektualnego i kulturalnego w stosunku do Europy zachodniej. Dlatego koniecznem jest utrzymanie pewnej ilości 8-klasowych gimnazjów z nauką języków klasycznych". To są miarodajne głosy tej organizacji, w której p. Strojny spełnia obowiązki sekretarza. Związek słusznie mógłby uprosić go, żeby go nie kompromitował niedojrzałemi elaboratami przed szerszą publicznością, i nie dał dalszych próbek tej umysłowości i kultury, co w charakterystyce gimnazjum klasycznego.

„*Sprawa gimnazjów* więc nie jest żadną poważną sprawą, lecz wyskokiem maniaka na punkcie jednolitości, od którego my jednolitowcy i Związek Zawod. NPSŚ się odżegnywamy".

Ta odpowiedź moja zrobiła swoje i zaważyła nieco na losach p. Strojnego, którego uproszono, dla ratowania sytuacji, o rejteradę. Po jakichś długich dwóch tygodniach, kiedy Lwowianie już zapomnieli o pyszałku, pojawiła się wreszcie jego *Odpowiedź na krytykę prof. Ganszyńca (Słowo Polskie,* nr. 317 z dn. 18 listopada 1929), gdzie gniew przyłapanego in flagranti zwraca się przeciwko mnie, ale też filologja klasyczna otrzymuje amende honorable (niepotrzebnie tam p. Strojny wykazuje się niby znajomością łaciny — pech chciał, iż w biednych trzech słówkach [*pro domo sua*] sztubak strzelił byka: na przyszłość unikaj brzydkiego polonizmu i pisz: *pro domo mea)* — przeprosiny te brzmią: „Nigdy bowiem przeciw nauczaniu filologji klasycznej nie występowałem — przynajmniej w tym artykule — a li tylko przeciwko pewnemu typowi szkoły, a nawet jeszcze ściślej przeciw j e d n e j szkole tego typu". Widocznie p. Strojny chciał być bardzo dowcipnym, rozróżniając nauczanie klasyczne od gimnazjum klas., albo — co tu prawdopodobniejsze — wykręcić się sianem; rewelacją nową i, jak zobaczymy, ciekawą, jest tylko to, że charakterystykę typu szkoły klasycznej, oparł na 'znajomości' jednego jedynego gimnazjum. I w dalszym ciągu zacieśnia swe zapędy reformatorskie, wyjaśniając, iż nie chodziło mu bynajmniej o zmianę ustroju szkolnictwa, lecz o — przemianę 1 (jednego) gimnazjum klas. we Lwowie na humanistyczne. Istotnie: *parturiunt montes, nascetur ridiculus mus;* rejtyrada była dość zupełna — niestety, nieszczera. Przeciw tej nieszczerości napisałem z miejsca odpowiedź, która jednak nie ukazała się w druku wobec zapewnienia autorytatywnego, że rola p. Strojnego definitywnie się skończyła i że nie powinienem się znęcać nad 'trupem'. Ale ponieważ Kuratorjum wygrzebało tego trupa, a to w sposób rażąco niesamowity, wolno też wyciągnąć moje ówczesne uwagi:

„Lekcja stylu i logiki, jakiej z obowiązku udzieliłem p. Strojnemu w *Słowie Polskiem,* przydała się — stwierdzam z uznaniem, że nie każdy z moich słuchaczy jest tak chętny i pojętny. To mię zachęca do kontynuowania mego kursu — wiem coprawda, że w metodzie listownej à la Toussaint - Langenscheidt nauczyciel okazuje więcej wytrwałości aniżeli uczeń: więc nie ręczę za to, że p. Strojny mi dotrzyma kroku. — Krótko mówiąc, p. Strojny zabrał się w ramach odpowiedzi na

moje marginalja do napisania nowego artykułu na ten temat, w tonie melancholijno-elegijnym, nastrajającym czytelnika do litości nad „biednym sekretarzem, któremu nie wolno mieć żadnego prywatnego zdania“, nawet nie głupiego. Aż żal mi się robiło mnie samemu... Wypracowanie to więc chętnie oceniłbym za wcale udatne, gdyby nie zawierało kilka, drobnych zresztą, usterek, które wymagają i podkreślenia i poprawienia. Specjalnie niegrzecznie skierował p. Strojny uwagę publiczności w te strony, w które ja nie pokazałem — aby wysnuć wniosek, że wskazałem w próżnię. To nieładne i niegrzeczne — ale też trudno wymagać, żeby ktoś zaraz po pierwszej lekcji zmienił duszę. Tu czas i nauka zrobią swoje — liczę naturalnie w dalszym ciągu na dobre chęci p. Strojnego. Zresztą w jednym punkcie wina leży nie wyłącznie po jego stronie — albowiem nie wiem, jakim sposobem w druku wypadło jedno zdanie, mojem zdaniem niezbędne, bo wykazujące jasno, o co mi chodziło w moich marginaliach: wykazawszy bowiem, że Związek Zawod. NPSŚ zajmuje stanowisko nietylko rzeczowe, ale i nader życzliwe dla g i m n a z j ó w k l a s y c z n y c h, dodałem: „Słusznie więc Związek mógłby uprosić p. Strojnego, żeby go nie skompromitował przed szerszą publicznością n i e d o j r z a ł e m i elaboratami, i nie dał dalszych prób tej u m y s ł o w o ś c i i tej k u l t u r y, co w charakterystyce gimnazjum klasycznego“. Umysłowość tę i tę kulturę, którą p. Strojny chwali się, że wyniósł ze studjów matematyczno-przyrodniczych, określiłem krótko, jedną jako ‘głupią’, drugą jako ‘podłą’ (redakcja to skreśliła).

„Cóż p. Strojny na to — czy wskazałem w próżnię?

„Są i inne usterki. Czytamy np.: „p. G. zarzucił mi, iż napisałem mój artykuł, m i m o i ż j e s t e m s e k r e t a r z e m Z w i ą z k u ZNPSŚ... jednem słowem, postawił mi zarzut przekroczenia mojej kompetencji“. Jakże mogłem mu postawić podobny zarzut, skoro mi nie przyszło ani na myśl, że p. Strojny wogóle w jakiejś sprawie m o ż e być kompetentny? Natomiast stwierdziłem fakt, że p. Strojny, autor artykułu, jest identyczny z p. Strojnym, sekretarzem Związku, i nie mało sobie zadałem trudu z wykazaniem, że mimo tej koincydencji Związek, dla którego żywię dużo sympatji, z tą enuncjacją prywatną swego sekretarza nie ma nic wspólnego. Ale skoro p. Strojny sam wysunął owo ‘mimo’, starannie unikane przezemnie poprzednio, wypada coś o niem powiedzieć. Wszędzie bowiem panuje taki zwyczaj, że na prezesów i sekretarzy dobiera się ludzi, zalecających się nietylko przez wybitną umysłowość i wysoką kulturę, ale też reprezentujących najlepiej ideowość programu związkowego, i poświęcających się dla idei. Ani ‘prywatnie’ ani nawet anonymowo odpowiedzialni członkowie zarządu nie pozwalają sobie na enuncjacje, mogące kompromitować Związek. Wolno zatem zapytać, c z y p. S t r o j n y r z e c z y w i ś c i e j e s t s z c z y t e m u m y s ł o w o ś c i i k u l t u r y w Z w i ą z k u Z a w o d. NPSŚ? Czy enuncjacje leżą po linji programu Związku Zaw. NPSŚ?

„To przesunięcie sporu musiałem uchylić. Uchylę i drugie: „....którego to Związku S e k c j a F i l o l o g i c z n a w y s t ę p u j e s o l i d a r n i e w o b r o n i e n a u c z a n i a f i l o l o g j i...“. „Biedak-sekretarz, który nigdy nie może mieć własnego zdania“, conajmniej nie powinien

na własną rękę... (jakże to powiedzieć, żeby redakcja mi nie skreśliła trafnego słowa?) ... przekręcić prawdy... Albowiem nie Sekcja Filologiczna wysłała delegata na Zjazd — oto oficjalne teksty: „W imieniu Zarządu Głównego Związku Zawodow. NPSŚ, który polecił mi reprezentować Związek w uroczystym dniu dzisiejszym, mam zaszczyt powitać Zjazd...“ i tak się ma sprawa z przytoczonemi przezemnie tezami, które „Zarząd główny na specjalnem zebraniu przedyskutował i ustalił“. Jeśli biedny sekretarz Związku Zaw. NPSŚ nie może mieć własnego zdania, czy wolno mu obce zdania i enuncjacje Zarządu Głównego swego Związku — fałszować, aby wyprowadzić w pole publiczność?

„Czy mam postawić pytanie trzecie? Boję się, by nie było to, jak na jedną lekcję, dla biednego sekretarza zadużo. Odkładam je więc do najbliższej sposobności...“.

To koniec polemiki, ale nie koniec sprawy: sprawa, jak wiadomo, i dziś po uchwaleniu nowego ustroju szkolnictwa nie jest zakończona... Ale wolno jeszcze na pożegnanie rzucić niedyskretny wzrok za kulisy, o których napomknął p. Strojny, oświadczając, że wielka jego maszyna przeciw ‘typowi klasycznemu’ była wymierzona tylko przeciw jednemu gimnazjum. Indyskrecja ta była dość niekoleżeńska. Otóż przedewszystkiem naczelnikiem wydziału w Kuratorjum O. S. Lwowskiego był wówczas p. K. Hubert, o którym ‘swoi’ teraz mówią tak źle, jak wówczas, gdy rozdawał posady, mówili dobrze. I on, przyrodnik, miał bzika na punkcie gimnazjum klas. — za wielki sukces poczytywał sobie przemianę gimnazjum klas. w Stanisławowie na humanistyczne. Jego właśnie przykład zachęcił Związkowców do wysunięcia wciąż nowych gimnazjów klas. ‘na rzeź’; w Stanisławowie np. ówczesny Prezes Koła Związku Zaw. Szk. Śr. wystąpił publicznie przeciw filologji klas. twierdząc, że filologowie sami, niby haruspices między sobą, nie wierzą w misję kulturalną swej nauki, i powołał się na obietnicę nacz. Huberta, że prywatne gimnazjum żeńskie im. E. Orzeszkowej otrzyma wówczas prawo publiczności, jeśli — z klasycznego przemieni się w humanistyczne: taka zmiana zresztą też niebawem nastąpiła. Nacz. Hubert, zapytany przezemnie w tej sprawie, nie pamiętał... P. Strojny więc chciał także zostawić po sobie monumentum aere perennius podobnym czynem, jak wyjawia w drugim artykule. Indyskrecja ta była — niekoleżeńska także z innych względów. Otóż dla wtajemniczonych nie było żadnym sekretem, że tem jednem gimnazjum, które p. Strojny miał na oku, było państw. gimn. IV im. J. Długosza, którego dyrektorem wówczas był radca W. Śmiałek: do niego miała się też odnosić owa charakterystyka typu szkoły klasycznej (czy raczej denuncjacja owego gimnazjum). Znał p. Strojny to gimnazjum coprawda tylko z widzenia — w opisie jego ustroju i wartości polegał (to dla niektórych będzie niespodzianką, inni to zresztą już dawno wiedzą) na tem, co mu wychowanek tego gimnazjum i czasowo także dygnitarz Związku ZNPSŚ, p. dr. Jan Smereka, raczył wyjawić — co chyba samo już świadczy o tem, że wbrew charakterystyce p. Strojnego szkoła ta produkowała nietylko ‘arystokratów’, lecz też tak drogich sercu p. Strojnego pospolitowców, zanieczy-

szczających własne gniazdo. Skończyła się ‘wielka reforma’ pp. Strojnego-Smereki na tem, że zmieniono nie gimnazjum, lecz tylko dyrektora: pięknego dnia p. Śmiałek dowiedział się od swego woźnego, którego ‘tajemnica urzędowa’ rozsadzała, że Kuratorjum nosi się z zamiarem... I poszedł. I z biegiem lat p. Smereka został sekretarzem PTF — on, który likwiduje nasze gimnazja klas. wespół z Strojnymi, — a p. Strojny następcą światłych filologów, a to za rządów p. wicemin. Chylińskiego, prezesa P. Twa Filologicznego, i naczelnika Jusa, członka Zarządu PTF...

Dziwnie się wszystko plecie
Na tym tu biednym świecie...
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I ginie, a nie będzie umiał w to ugodzić...

Tak odżyje dziś przeszłość, którą uważałem za dobrze pogrzebaną. Powiedźcie sami, czy można wierzyć w postęp oświaty polskiej, jeśli się takimi zacofańcami dlatego, że byli dygnitarzami Związku Naucz., rugując rzeczywiście pełnowartościowych kierowników, zachwaszcza nasze szkolnictwo? Wierzę chętnie, iż pozatem p. Strojny ma wszystkie zalety, potrzebne do normalnego nekrologu, i może coś ponadto; jeśli już koniecznie według praktyki naszego Kuratorjum każdy dygnitarz Związku musi być jakimś kierownikiem, dajcie p. Strojnemu dyrektorjat np. gimnazjum tupeciarskiego (przewidzianego może jako 77 typ ‘gimnazjów’ zawodowych), ale nie ausgerechnet humanistycznego, przytem Zakładu, posiadającego tak świetną i nieskalaną dotąd tradycję: tam dyrektorem był Próchnicki, zasłużony autor podręczników łacińskich; tam dyrygował Nogaj, którego pamięć nam jeszcze teraz droga jest i święta; tam Szmydt, który godnie kontynuował tę tradycję. Tradycja ta — jeśli nasza władza oświatowa do niej się nie przyznaje — należy do nas humanistów i do Lwowa, i nikt nie ma prawa jej poniewierać. Z odrazą odnosimy się do tych narzuconych kierowników gimnazjów humanistycznych, którzy swoją nienawiść do humanizmu, swoją ignorancję, swoją nieokrzesaność publicznie już dokumentowali. To nie właściwa droga wskrzeszania oświaty, to jej zduszenie. Należy sprawę postawić otwarcie i uczciwie: albo jest oświata albo jej niema; albo będzie humanizm albo go nie będzie: tzn. albo zmienić politykę personalną (kierownikiem gimnazjum humanistycznego powinien być humanista, a to wybitny) albo wykreślić humanizm z programu polskiej oświaty. (c. d. n.) R. G.

Wieczornica kolęd łacińskich

Dnia 30 stycznia 1936 r. urządzili studenci filologji klasycznej pierwszy wieczór kolęd łacińskich, zachęceni wielkiem powodzeniem wieczornicy horatiańskiej. Skorzystano z doświadczeń pierwszego występu chóru i publiczności, tak że ta druga uroczystość pod niejednym względem przewyższała święto horatiańskie i z entuzjastycznem się spotkała przyjęciem u znawców i miłośników. „Programma ludorum Christianorum“ — tak nazwano wieczornicę — ułożyła i tym razem p. Jaszowska: przedstawia ono tekst ułożony w kształcie zielonego drzewka z czerwonemi świecami: czerwone gwiazdki symbolizują ‘gwiazdkę’. Chór filologów wy-

ćwiczył Damian Handzij, kwartetu użyczyło Konserwatorjum im. Szymanowskiego: prawie wszyscy współpracowali czynnie czyto w ozdobieniu choinki, w przepisywaniu nut, rozsyłaniu zaproszeń itd. Gospodynią była i tym razem Janina Czuprówna. — Na program złożyły się kolędy wyłącznie łacińskie, przyczem pojęcie 'kolędy' pojmowano bardzo szeroko. Kolęda bowiem (od łać. *calendae* scil. *Ianuariae)* znaczyła pierwotnie 'życzenie noworoczne', ułożone przez bałakarza i żaków honoratiorom miejscowości, przyczem otrzymywali wzamian zaproszenie na posiłek i podarki pieniężne albo częściej in natura. Ceremonja ta, rzecz jasna, nie obeszła się bez śpiewów, ale śpiewy te prosto z mostu, a raczej rubasznie, wyrażały tylko konwencjonalną treść życzeń i prośbę o suty dar: nie miały treści religijnej, ani też nuty kościelnej. Samo zaś 'kolędowanie' wtedy jeszcze nie było połączone z Bożem Narodzeniem ani też z szopką. Dopiero wiek XVI, a ściślej czas po soborze trydenckim, okres więc antireformacyjny, który w krajach katolickich zaznaczył się silnym zastrzykiem średniowieczczyzny jako kultury par excellence katolickiej, przynosi także w dziedzinie kolędowania głębokie zmiany. Przedewszystkiem wzięły sprawę tę w swe ręce władze kościelne — prawie wszystkie szkoły niemiejskie były przecież szkołami parafjalnemi. Rugowano więc pieśni rubaszne, a w ich miejsce wprowadzano religijne. Jako takie zalecały się ze względów czasowych i praktycznych pieśni Bożego Narodzenia. Decydujący wpływ wywarły tu nowe zwyczaje kościelne, mianowicie rozpowszechnienie szopki w kościołach, głównie z inicjatywy franciszkanów. Szopki te były dwojakiego rodzaju: figuralne (te utrzymały się do dziś dnia) i 'żywe': w żywych żacy brali udział w roli Józefa, pasterzy, aniołów, królów, śpiewając i deklamując: na zaproszenie mieszczan grali 'szopkę' potem także po domach prywatnych i stąd zwyczaj dzisiejszej szopki. Przed szopką figuralną śpiewano pasterki, tzn. pieśni pasterzy, wykonywane zpoczątku tylko przez chór żaków, przebranych za pasterzy, później przez całą gminę. Większość naszych kolęd to typowe pasterki. Obok nich ckliwość jezuicka wprowadziła jeszcze nowy rodzaj pieśni, dawniejszym czasom nieznany, religijną kołysankę, którą dziś także zaliczamy do kolęd. — Inaczej przedstawia się ewolucja pieśni narodzeniowej w języku łacińskim. Starsze czasy wykazują tu pewne ubóstwo: zadowalają się poprostu hymnami oficjalnemi, jak *A solis ortus cardine*. Dopiero czasy Abailarda i Viktorianów (Adama i Ryszarda) wzbogacają repertuar, przerywają niejako tamę, odgradzającą liturgiczny śpiew od wezbranego uczucia trubadurskiego, i przeprowadzają trubadurską melodyjność do kościoła. Odtąd mamy bogatą twórczość, dla której charakteryczna jest jednak treść dogmatyczna (podawano często w wiewnej symbolice) pieśni: niema mowy o pasterkach i kołysankach, które pojawiają się dopiero od XV wieku, kołysanki dopiero od drugiej połowy wieku XVI.

Wieczornica kolęd dała pewien przekrój historyczny przez tę ewolucję. Liturgiczną pieśń reprezentował hymn ambrosiański *A solis ortus cardine,* kościelny śpiew antiphony *Christus natus est nobis* i *Transeamus* (z quartetem smyczkowym). Starszą pieśń o treści dogmatycznej oddały piękne teksty *Dies est laetitiae* i *Flos de radice Iesse;* młodszą zaś

pieśń gminna portugalska *Adeste fideles laeti triumphantes,* niemiecka *In dulci iubilo* i *Resonet in laudibus;* trubadurską *Puer natus in Bethleem* z cudownym refrenem *Amor amor, quam dulciter venis, amor,* który tak głębokie wrażenie wywarł na słuchaczy. Pasterkę dało: *Quem pastores laudavere,* kołysankę zaś — łacińskie kołysanki są nader rzadkie — dwie pieśni, jedna chilijska *(Dormi, Iesu, mater ridet)* i jedna alzacka *(O dormi, dormi).* O zachwycie słuchaczy świadczy fakt, że niektóre pieśni musiano powtórnie śpiewać; zarówno tekst jak i melodje były zupełną nowością, czarującą egzotycznością i pięknem. Całość zamknęła polska pieśń: *Gdy się Chrystus rodzi* w przeróbce łacińskiej, robiącej wrażenie hymnu średniowiecznego.

Tekst na okładce oznajmił, że wieczornica ta ma odnowić starodawne zwyczaje scholarów i wagantów, kolędy z szopką. Obietnicę tę zrealizowano bez reszty. Wprawdzie wzorów nie było wiele — jest tylko jedna jedyna kolęda łacińska w całości zachowana, górnośląska, którą uprzystępniłem w Przeglądzie Humanistycznym 1930 zesz. 2 *(Ave mi dulcis Iesule).* Ale nasi żacy nadrobili własną inwencją i Piotr Gruszka i Jan Studeny (trzeci J. Didyk nosił gwiazdę) dali tę oto szopkę 'filologiczną':

P i o t r i J a n k o l ę d u j ą:

Hei, o mi dulcis Iesule
Ave, mitis et blaesule
Ave, Ioseph cum Maria
Ave, tota familia!

Dwóch nas idzie tu studentów —
Nie magistrów ni docentów:
Jan, kolega, chłop morowy,
Piotr — młodzieniec to rasowy.

Filolodzy my z zawodu,
Przymieramy czasem z głodu,
Raz na tydzień obiad jemy,
Zato wiecznie się śmiejemy.

Kolędować zabraniają,
Biednych żaków wszędzie łają,
Mówią: kryzys, grosza niema,
Czcze są wszystkie wasze pienia.

P.: A więc, Janie, miły bracie,
W jakiej spoczniem teraz chacie?
Kto nas przyjmie i ugości,
Gdzie złożymy nasze kości?

J.: Słuchaj, Piotrze, trudna rada;
Nam, studentom, tak wypada —
Przecież ktoś biedować musi,
Więc studentów bieda dusi.

P.: Przecież ci opowiadałem,
Jaki kłopot z forsą miałem,
Jak mnie zewsząd wypędzano
I za kołnierz wyrzucano.

J.: Słuchaj Piotrze mamy władzę,
W tym momencie ci poradzę:
Pójdźno ty do Kościelniaka [1]),
Masz pożyczkę na pewniaka.

P.: Byłem, byłem już u niego,
Ale cóż mam bracie z tego?
J.: To idź bracie do Dziekana;
P.: Byłem właśnie dzisiaj z rana.

Ten rzekł do mnie: „Proszę Pana,
Sprawa jeszcze nie przegrana:
Rektorowi to przedłożę,
On załatwi Panu może".

J.: Znam ja dobrze nasz rektorat!
Prędzej można zdać doktorat,
Zanim spadnie na cię łaska,
Że dostaniesz na dwa ciastka.

P.: Ze mną nawet gorzej było,
Bo i to się nie ziściło.
Kazał pisać do Warszawy,
By załatwić już tę sprawę.

---

[1]) Urzędnik Dziekanatu Humanistycznego.

J.: Nie mów jak to się skończyło,
Wiemy dobrze jak to było:
Podanie ci odesłali
Do pedela skierowali.

J. i P.: Jest minister, jest Warszawa
Do nakazów bardzo żwawa:
Brać pieniądze, to banalne,
Dać natomiast — nieziszczalne.

Taka to jest dola nasza
Od Annasza do Kajfasza
Obiecują, prolongują,
Aprobują, likwidują.

O cudowne Boskie Dziecię,
Ty nas nie odpędzisz przecie,
Lecz pocieszysz biedne żaki,
Które płaczą na los taki.

Kolędujmy ministrowi,
Rektorowi, dziekanowi,
By się nigdy nie martwili,
Że nas z niczem odprawili.

Turba:

Pełni nadziei i szczęścia, bo wielkie dziś święto swe sławią.
Oto się żacy powoli do miasta Warszawy zbliżają
Jednak nie wiemy, czy coś tam dobrego, miłego wskórają.
Chyba że Lwów we dwójkę w Warszawie na zawsze postawią.
Już są pod drzwiami ministra i rzewnie patrz już kolendują::
Miny ich smutne, strapione są twarze, bo nic nie wydują.

Piotr i Jan:

(Na nutę: *Ach wczora z wieczora* itd.):

Ach Jezu kochany,
Wesprzyj nasze pany
Ministra naszego
Oraz biuro jego.

By na nas wejrzeli,
Grosza użyczyli,
Suto odprawili.

Daj szczęście i zdrowie
Panu ministrowi
Daj, Jezuniu drogi,
By nie był nam wrogi.

Turba:

Poszli jak zwykle z tą pustą dziurawą jak przedtem sakiewką.

Piotr i Jan:

P.: Więc widzimy, drogi Janie,
Że w Warszawie to bujanie;
Wszystkim tylko obiecują
Miast obdarzać — odejmują.

Chodźmy zato do rektora
Może da nam jakie dora —
Może czesne nam daruje,
Jeśli śpiew co poskutkuje.

Turba:

Idą studenci strapieni i smutni kolendą prosić
Swego rektora, o groszy choć kilka swe prośby wznosić.

Piotr i Jan:

Triumfy z nieba wysokiego
Wszak będzie obniżka czesnego.
Studenci się buntują,
Wiec za wiecem zwołują,
Koledzy!

Czy taka to jest równowaga
Czy tego auctoritas wymaga?
Urzędnikom obniżają,
A studentom podwyższają —
Litości, ratunku, litości!

Żądania swoje przedkładają,
Rektorzy sprawę już badają.
Hej koledzy, uważajcie,
Z opłatami się wstrzymajcie!
Obniżą!

Koledzy, sprawęśmy wygrali —
W Warszawie już nam obiecali,
Że obniżą nam czesne,
Lecz dopiero na wiosnę.
Czekajmy!

Turba:

Twarze studentom się rozjaśniły i idą weseli
Gdyż otrzymali nadzieję obniżki, której pragnęli.
Więc kolendują teraz zkolei swemu mistrzowi
Swemu obrońcy, protektorowi — profesorowi.

(Na nutę: *Gdy się Chrystus rodzi* itd.):

Gdy się Chrystus rodzi i na świat przychodzi,
Życie filologom nam wszystkim osłodzi!
Filolodzy się radują,
Już łaciny nie skandują, Gloria itd.

Tych przeróżnych metrów to jest bardzo wiele:
Jamby, tribrachysy i pherekrateje;
Każdy mierzy i odcina,
Kończy i znowu zaczyna, Gloria itd.

A gdy pójdzie zdawać, to się strasznie plącze,
Jamby z daktylami, trochejami łączy.
Więc profesor grzecznie prosi:
„Jeszcze raz się Pan tu zgłosi", Gloria itd.

Piotr i Jan:

(Na nutę: *W dzień Bożego Narodzenia* itd.):

W całej Grecji wielka wrzawa,
Rzym ze złości dębem stawa,
Jerzy i Benito wściekły,
Bo im Muzy gdzieś uciekły,
Gdzieś uciekły.

Wszystkie dziewięć — ani słowa —
Poleciały aż do Lwowa,
I ta skoczna i ta harda
Na Ormiańską [2]) do Ryszarda,
Do Ryszarda.

Naco im Apollon — tata?
Lepszy młody *Filomata*,
I *Parnassos* jest tu także
I *Palaestra* też — a jakże,
Też a jakże.

Po łacinie i po grecku
Mówi każde lwowskie dziecko:
Szczepko Horacego śpiwa,
Aż się Uniwerek kiwa,
Cały kiwa.

Rozlegają się powszędy
Hymny, ody i kolędy.
Rektor krzyczy: Co się dzieje?
Wgórze Ajdukiewicz [3]) mdleje,
Wgórze mdleje.

---

[2]) Przy ul. Ormiańskiej 8, jest Drukarnia Naukowa.

[3]) Prof. filozofji, mający swój Zakład nad filologją.

(Na nutę: *Przybieżeli do Betlejem* itd.):

Przybieżały panny Muzy do Lwowa,
Zapytują, gdzie tu Grecja jest Nowa,
Homera chcą zobaczyć,
Nektarem się uraczyć
Czemprędzej, czemprędzej.

Klio, Thalia, Melpomene, Erato
Niech wśród korekt ślęczą nad *Filo-*
matą,
Reszta do Kwartalnika[4])
Niech recenzyjki wtyka,
Lub śpiewa, lub śpiewa[5]).

Ale mistrz nasz darmozjadów nie lubi,
Więc złociste córki Zeusa wyczubi,
W Polsce jest kryzys, nędza,
Do pracy je napędza,
Co żywiej, co żywiej.

Bo leniuchów nikt tu u nas nie niańczy,
A więc nawet Terpsichore zatańczy —
Reumatyzm czy podagra,
Jak jej Ganszyniec zagra
Na fletni, na fletni.

T u r b a:

Być dziś studentem to ciężkie i trudne Tantala zadanie,
Niesie ten ciężar nauki przed sobą i w tem nie ustanie,
Ufa gorąco, że da mu Dzieciątko tę przyszłość świetlaną,
Którą w swem sercu on nosi, nauki perłami usłaną.

P i o t r i J a n:

(Na nutę: *Pójdźmy wszyscy do stajenki* itd.):

Pójdźmy wszyscy do stajenki
Do Jezusa i Panienki:
Niech się zlituje nad nami
Biednymi filologami.

Wypowiemy Mu swe żale
Że nas prześladują stale,
Że już grekę likwidują
I wiecznie coś reformują.

Jezu, dzisiaj Cię błagamy
Daj nam czego tak żądamy,
Żeby nam już spokój dali
Swoich reform zaprzestali.

Rzecz jasna, że wszystkie zwroty i aluzje spotkały się z pełnem zrozumieniem i serdecznym poklaskiem. Wspaniały sukces wieczornicy w znacznej części był zasługą Piotra i Jana: humor ich był koniecznym pendantem do surowej majestatyczności pieśni.

Kongres Towarzystwa Guillaume Budé

W dniach 23—27 kwietnia 1935 odbył się w Nicei drugi kongres Stowarzyszenia Guillaume'a Budé'a. Otwarcie kongresu odbyło się w miejscowej operze, zagaił posiedzenie prezes stowarzyszenia A. Puech. J. Renard w przemówieniu swojem przedstawił ścisły związek łączący paryską centralę stowarzyszenia z jej sekcjami. Uczestników kongresu zaproszono też do Marsylji, gdzie ich oprowadzano po całem mieście. L. Dor w odczycie „Marsylja grecka" mówił o nieprzerwanej tradycji łączącej Marsylję z czasami starożytnemi. Po powrocie złożono hołd wielkiej pamięci Maurycego Croiseta. Potem nastąpiły przemówienia przedstawicieli miasta i delegatów towarzystw literacko-naukowych. Kongres był bardzo licznie

---

4) *Kwartalnik Klasyczny,* obecnie *Przegląd Klasyczny.*

5) Mamy chór filologiczny.

obesłany. Byli na nim przedstawiciele Sorbonny, Collége de France i uniwersytetów prowincjonalnych. Z zagranicznych państw reprezentowana była Anglja, Belgja, Hiszpanja, Włochy, Polska i Szwecja. Sekcją filologiczną kierowali Mazon i Ernout, sztuką i archeologją Dugas i Albertini, byzantynistyką M. Diehl. Referatów było wiele, że praktycznie okazało się niemożliwością wygłoszenie wszystkich zgłoszonych. W osobnym odczycie A. Rivaud mówił o duchu filozofji i nauki helleńskiej. Podkreślając, że zasady działalności ludzkiej nie zmieniły się od czasów starożytnych do dziś, pokazał, jak wiele możemy się nauczyć czerpiąc ze skarbca myśli i doświadczenia greckiego. Odczyt E. Albertiniego o roli mieszkańców prowincyj imperjum rzymskiego, wygłoszony żywo i z zapałem, zawierał wielkie bogactwo nowych i głębokich myśli, oraz odznaczał się jasną kompozycją. Również zakończenie kongresu odbyło się w sali opery. A. Puech zreasumował prace kongresu, jeszcze raz podkreślając doniosłość wykształcenia klasycznego, nad którem pracuje i reprezentowane przezeń towarzystwo. M. W.

Łacina w stosunkach międzynarodowych

Pod tym tytułem ogłosił T. Zieliński, założyciel i prezes Towarzystwa umiędzynarodowienia łaciny, w czasop. Pion III 1935, nr. 35 i 36 uwagi uzasadniające reaktywizację łaciny jako współczesnego narzędzia porozumiewawczego. Myśli wypowiedziane dla znawców dzieł Zielińskiego nie zawierają coprawda nic nowego, i estetyzująca odprawa Esperanta, najgroźniejszego konkurenta łaciny międzynarodowej, jest wręcz nieszczęśliwa; ale każdy filolog, który przecież całem sercem — *praestet fides argumentum, etsi sensus deficit* — popiera wszelkie poczynania, zmierzające do powiązania naszej nauki z potocznem życiem, chętnie zapozna się z tą apologją łaciny unowocześnionej, z której opuszczamy tylko rozprawę z Esperantem.

I.

„Temat niniejszego mego artykułu, o ile wogóle jest aktualny, powinien być uważany za aktualny właśnie w Warszawie, gdyż właśnie w tej naszej stolicy zostało założone parę lat temu „Towarzystwo umiędzynarodowienia łaciny". Idea ta powstała, trzeba to zgóry zaznaczyć, nie w sferze ludzi, przez swój zawód związanych z tym językiem, lecz w sferze wojskowej, co w każdym razie daje chlubne świadectwo poziomowi kulturalnemu naszej armji narodowej. Żeby jednak nie być posądzonym o zbytni optymizm w tym kierunku, muszę dodać, że kiedy w myśl inicjatorów miało się zawiązać Towarzystwo, o którem mowa, zabiegi o jego zatwierdzenie przez władze państwowe trwały nie mniej niż dwa lata. Tymczasem wiadomość o naszych zamiarach przedostała się także zagranicę, gdzie była przyjęta z wielką sympatją szczególnie przez Niemcy i Włochy; i oto, podczas gdy u nas toczyły się nieskończone pertraktacje między inicjatorami i Starostwem Grodzkiem, Niemcy nas ubiegły i założyły w Monachjum swoją *Societas Latina,* liczącą teraz tysiąc zgórą członków.

Czy jednak idea ta ma u nas szanse powodzenia? Muszę wyznać, że ten punkt widzenia jest dla mnie jak najmniej miarodajny; mówię

tu razem z Seneką: *An profecturus sim, nescio; malo successum mihi quam fidem deesse.* To też, kiedy mi po ukończeniu wstępnych perypetyj zaproponowano prezesurę w nowem towarzystwie, powiedziałem sobie, że niezależnie od możliwego czy niemożliwego sukcesu, sama *fides* wymaga, żebym nie odmówił inicjatorom jakiej takiej pomocy w ich szlachetnych dążeniach, i chętnie przyjąłem ofiarowaną mi godność.

Nie chcę jednak przez to powiedzieć, żebym rozpaczał co do sukcesu; o tem właśnie mam zamiar tutaj pomówić.

II.

Oczywiście, pierwszym warunkiem sukcesu jest przekonanie, że łacina nadaje się do spełnienia tego zadania, które jej stawiają stosunki międzynarodowe. Ten zarzut bowiem daje się często słyszeć z ust przeciwników: łacina, powiadają, jako twór kultury antycznej, nie posiada tych kategoryj myślenia, do których przyzwyczajony jest człowiek nowoczesny; pod tym względem więc ustępuje językom, któremi się posługujemy w dobie obecnej.

No, co do tego, to się jeszcze zobaczy. *Longum iter est per praecepta, breve et efficax per exempla,* — powiedział tenże cytowany przeze mnie przed chwilą Seneka; jako *exemplum* niech nam posłuży mowa dyplomatyczna najnowszej daty — mianowicie ta, którą wygłosił w Genewie nasz delegat p. minister Komarnicki. Wygłosił ją naturalnie po francusku; tego oryginału nie posiadam, musiałem się zadowolić polskiem tłumaczeniem (które znalazłem w naszych dziennikach), z punktu widzenia stylistycznego dość nieudolnem. Podaję tu jego pierwsze ustępy:

„Sprawa, będąca przedmiotem obrad rady, posiada poważne znaczenie, to też badanie jej winno być prowadzone w duchu objektywizmu i spokoju, który zapewnia akcji rady siłę moralną, niezbędną dla znalezienia rozwiązania definitywnego, mogącego położyć kres stanowi naprężenia, który szkodzi interesom obu stron i zagraża pokojowi w tej części Europy. Rząd polski udzieli swego pełnego bezinteresownego poparcia przy objektywnem zbadaniu tej sprawy, nie kierując się żadną uboczną myślą polityczną.

Sprawa ta, która jest bardzo bolesna dla wszystkich przyjaciół pokoju, specjalnie przykra jest dla nas, Polaków, którzy mamy zajmować się w tak specjalnie drażliwych okolicznościach stosunkami pomiędzy dwoma krajami, które uważamy za naszych dobrych i prawdziwych przyjaciół i z któremi jesteśmy związani takiemi samemi zobowiązaniami międzynarodowemi.

Żywimy głęboką sympatję dla ludu jugosłowiańskiego, który zabezpieczył swoją niezależność i urzeczywistnił swoją jedność narodową dzięki bohaterskim i wytrwałym wysiłkom całego narodu. Cała Polska głęboko odczuła niezmierny ból narodu jugosłowiańskiego, który w ohydnym zamachu utracił swego chwałą okrytego króla. Monarcha ten, dzięki swemu głębokiemu zmysłowi politycznemu i swemu gorącemu patrjotyzmowi, był w istocie najwyższym wodzem swego narodu. Pochylamy się z szacunkiem przed bólem narodu jugosłowiańskiego i rozumiemy oburzenie, jakie go ogarnęło w obliczu tej zbrodni, potępionej z odrazą przez jugosłowiańską opinję jak też i opinję cywilizowanego świata.

(c. d. n.).

Przegląd Klasyczny wychodzi jako miesięcznik (rocznie 10 zeszytów) i obejmuje metodologję i dydaktykę filologji klasycznej, przegląd badań, bibljografje z przeglądem czasopism krajowych i zagranicznych, kronikę ważniejszych wydarzeń w świecie filologicznym.

Prenumerata roczna wynosi w księgarniach 20 zł. Cena pojedyńczego zeszytu w księgarniach 2·50 zł. Abonenci Filomaty korzystają z prenumeraty ulgowej. Prenumeratę uprasza się przesyłać czekiem PKO na konto „Filareta" 500.143.

Redaguje Komitet Redakcyjny: prof. Edmund Bulanda, Lwów (archeologja), prof. Ryszard Ganszyniec, Lwów (filologja klasyczna), prof. Jan Safarewicz, Wilno (językoznawstwo), prof. Zdzisław Zmigryder-Konopka, Warszawa (historja starożytna).

Redaktor odpowiedzialny: Ryszard Ganszyniec, Lwów. Uniwersytet.

Administracja: Lwów, Uniwersytet.